

BÓG, BIBLIA MESJASZ

Z księdzem profesorem Waldemarem Chrostowskim

rozmawiają: Grzegorz Górny i Rafał Tichy



FRONDA

BÓG, BIBLIA MESJASZ

[Kup książkę](#)

BÓG, BIBLIA MESJASZ

*Z księdzem profesorem Waldemarem Chrostowskim
rozmawiają: Grzegorz Górny i Rafał Tichy*

FRONDA

[Kup książkę](#)

Opracowanie wywiadu - Rafał Tichy
Przepisywanie z taśm - Grażyna Kurkowska
Redakcja tekstu i korekta - Hanna Stompor
Projekt okładki i opracowanie graficzne - Jan Zieliński
Skład - Iwona Zielińska

Wydanie III

ISBN 978-83-62268-35-1

WYDAWCA

Fronda Pl. Sp. z o.o.

ul. Łopuszańska 32

02-220 Warszawa

fronda@fronda.pl

www.wydawnictwofronda.pl

www.facebook.com/FrondaWydawnictwo

DRUK

ELPIL

Artyleryjska 11

08-110 Siedlce

info@elpil.com.pl

„Cur ergo Tibi tot rerum narrationes digero?“

„Dlaczego więc Tobie opowiadam
o wszystkich tych sprawach?“

Św. Augustyn, *Wyznania*, XI, 1.

Biblia czytana po kryjomu

Jest Ksiądz znanym biblistą, codziennie obcującym ze świętym tekstem, tłumaczącym go, analizującym, komentującym na różnych płaszczyznach. Ciekawi jesteśmy, jak wyglądało pierwsze spotkanie Księdza z Biblią? Czy pamięta Ksiądz, kiedy pierwszy raz się nią zachwycił?

Bardzo dobrze to pamiętam. Było to w drugiej połowie lat 50., oczywiście ubiegłego stulecia. Miałem pięć, może sześć lat, a moje wspomnienia łączą się z przeżywaniem mszy świętej. Pod koniec każdej mszy, która do II Soboru Watykańskiego (1962-1965) była sprawowana po łacinie, kapłan czytał pierwszy rozdział Ewangelii według św. Jana: „In principio erat Verbum, et Verbum erat apud Deum, et Deum erat Verbum. Hoc erat in principio apud Deum”, „Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, i Bogiem było Słowo”. Ten fragment zawsze wywierał na mnie ogromne wrażenie. Łacina to naprawdę język święty, może nawet język nieba... Głośno czytany tekst brzmiał bardzo tajemniczo, a zarazem bardzo uroczyście, a ja, będąc dzieckiem, odbierałem go jako wspaniały hymn ku czci Boga i niezbadanej tajemnicy Jego miłości. Był to dla mnie najważniejszy fragment liturgii, tym bardziej że ją zamykał. Z czasem,

a w gruncie rzeczy trwa to do dzisiaj, właśnie prolog czwartej Ewangelii kanonicznej stał się dla mnie jednym z najważniejszych fragmentów Pisma Świętego. A ponieważ odbywało się to wszystko w atmosferze drewnianej kaplicy parafialnej w Troszynie, nieopodal Ostrołęki, zawsze, ile razy słucham, czytam, a czasami komentuję ten fragment, kojarzy mi się on z rozmaitymi epizodami z dzieciństwa.

Na początku listopada 2005 r., dzięki życzliwości ks. bp. Zbigniewa Kiernikowskiego, zwiedziłem Muzeum Diecezjalne w Siedlcach. Ekspонатem, który wywarł największe wrażenie, był niezwykle okazały egzemplarz wspianego mszału wydanego w 1900 r. na użytek biskupów i prałatów Kościoła katolickiego. Przeglądając jego karty, odnalazłem zakończenie liturgii rzymskiej, czyli łaciński tekst Prologu czwartej Ewangelii kanonicznej. Tam, w Siedlcach, wróciłem na kilka chwil do czasu i krainy dzieciństwa. Było to bardzo piękne i wzruszające przeżycie!

*Jednak dla pięciolatka wszystko to musiało się odbywać
bardziej w sferze emocjonalnej niż rozumowej.*

*Kiedy zatem spotkał się Ksiądz ze słowem Bożym w sposób
bardziej świadomy i refleksyjny?*

Kilka lat później, a owa przygoda wiązała się z tym, że bardzo lubiłem czytać książki. Czytanie książek, wprost pochłanianie ich, było najważniejszym zajęciem mojego dzieciństwa. Mając lat około jedenaście, pojechałem pociągiem z mamą do Łomży. Sama podróż koleją zawsze była i pozostaje dla mnie wielką przygodą. Doskonale pamiętam sklep z dewocjonaliami i książkami religijnymi naprzeciw katedry łomżyńskiej, zdaje

się, że istnieje on do dzisiaj. A ponieważ owocem podróżowania z mamą prawie zawsze była jakaś książka, również tym razem udaliśmy się do tej księgarni. Natrafiłem na Pismo Święte Nowego Testamentu. Zaintrygowało mnie i bardzo chciałem je przeczytać. Mama najpierw wzbraniała się przed kupnem, bo nie była pewna, czy dziecko może je czytać. Także sprzedawczyni nie miała na ten temat wyrobionego zdania. Mama kupiła je, zastrzegając, że nie mogę go czytać i muszę zaczekać do niedzieli.

W najbliższą niedzielę, zaraz po mszy świętej, udaliśmy się do proboszcza – to był ks. Stanisław Murawski, bardzo zany kapłan i człowiek. Mama zapytała, pokazując Pismo Święte, czy dziecko może czytać „takie rzeczy”. Proboszcz uważnie obejrzał podaną książkę i odpowiedział, że nie, bo to nie jest lektura dla dzieci. Mama była wyraźnie rozczarowana, że zakup okazał się chybiony, i schowała Pismo Święte przede mną. Oczywiście bardzo szybko znalazłem zakazaną książkę – była na półce w szafie, w bieliźniarce – i pod nieobecność rodziców zacząłem ją czytać od początku, posuwając się powoli coraz dalej. Po jakimś czasie mama zorientowała, że znalazłem książkę i ją czytam, ponieważ część przeczytana wyraźnie różniła się od tej, która dopiero na lekturę czekała. Zdążyłem przeczytać cztery Ewangelie i Dzieje Apostolskie i właśnie zaczynałem lekturę Listów. Bez awantury i specjalnych napomnień mama pogodziła się z moją niesubordynacją i pozwoliła kontynuować lekturę: „Przeczytałeś tyle – powiedziała – czytaj do końca”. Kiedy uzyskałem pozwolenie, zaprzestałem czytania, bo bardziej zainteresowały mnie inne książki. Taki był mój pierwszy bezpośredni, wręcz namacalny, kontakt z Pismem Świętym.

*I jakie wrażenia wyniósł Ksiądz
z tej „zakazanej” lektury?*

Przede wszystkim obudziła ona we mnie bardzo żywe zainteresowanie realiami: historią, geografią, topografią ziemskiej ojczyzny Jezusa. Zacząłem zdawać sobie sprawę z tego, że gdzieś na świecie istnieje kraj, który był ziemią Jezusa, że żyli tam ludzie, którzy byli Jego rodakami, że istnieją góry opisywane na kartach Nowego Testamentu, rzeka Jordan, o której jest tam mowa, miasta, takie jak Jerozolima, Nazaret, Betlejem czy Kana Galilejska. Jednym słowem, było to dla mnie pierwsze i to bardzo mocne spotkanie z rzeczywistością wcielenia Syna Bożego i jej uwarunkowaniami.

Już wtedy rodziła się we mnie i coraz bardziej wzmagała ogromna potrzeba spotkania z ziemią Jezusa. Wiedziałem, że można do niej dotrzeć, że opowiadania o życiu Jezusa to nie bajka ani zmyślenie, że ta ziemia rzeczywiście istnieje. I chociaż, jeżeli tak można powiedzieć, odległość geograficzna z Chrostowa, gdzie się urodziłem i mieszkalem jako dziecko, do tej ziemi była ogromna, to odległość psychologiczna była żadna. W pobliżu wioski płynie niewielki strumyk. Lubilem tam chodzić, bo ucząc się geografii wiedziałem, że każda mała rzeka wpływa do większej, a duże rzeki do morza, a morza łączą się ze sobą. Marzyłem, że w tym miejscu mogę rozpocząć długą wyprawę, która, wzdłuż brzegów, zaprowadziłaby mnie do Palestyny, gdzie żył i nauczał Jezus. Czasami te marzenia były niezwykle silne. Do dzisiaj kocham rzeki i nadal lubię tak marzyć... Z rzekami łączy się jakaś magia: dzielą, a zarazem łączą.

Czy rodzina Księdza była rodziną wierzącą, katolicką? Pytamy, gdyż pokoleniu urodzonemu po II Soborze Watykańskim trudno zrozumieć, że w naprawdę wierzącej rodzinie nie ma Pisma Świętego.

To była rodzina wierząca, a nawet bardzo wierząca, aczkolwiek wiara moich rodziców była wiarą ludzi prostych. W naszym domu nie było wcześniej Pisma Świętego, bo w żadnej rodzinie, którą znałem, go nie było. Odnoszę wrażenie, że posiadanie Biblii byłoby nawet czymś niezwykłym. Znacznie później z zapartym tchem oglądałem dotknięte zębem czasu egzemplarze tzw. Biblii rodzinnej, przekazywanej z ojca na syna, z pokolenia na pokolenie. Musimy pamiętać, że od czasów kontrreformacji, czyli od połowy XVI w., do II Soboru Watykańskiego, czyli do lat 60. XX w., Kościół katolicki z nieufnością traktował indywidualną lekturę Biblii przez wiernych, a w pewnych okresach nawet jej zakazywał. Czytanie Biblii było uznawane za uleganie wpływom protestanckim i być może tak patrzył na to również mój proboszcz oraz rodzice.

O powodach takiego stanu rzeczy będziemy rozmawiać później. Teraz chcielibyśmy wiedzieć, jak Ksiądz wtedy odbierał ów zakaz czytania Biblii, jak to sobie interpretował? Czy nie odczuwał Ksiądz jakiegoś buntu wobec instytucji operującej takimi zakazami?

Nie, żadnego buntu nie było, tylko ciekawość. Kościół nigdy mi nie uwierał, bo nigdy nie postrzegałem go jako instytucję. Wiem, że ten wymiar istnieje i jest bardzo ważny. Jednak dla mnie Kościół to przede wszystkim wspólnota wiary, jej wyznawania i wyrażania. Tak widziałem to od dziecka. Już

wtedy intuicyjnie wyczuwałem, że owe zakazy nie są wymierzone przeciwko Biblii, lecz wypływają z przeświadczenia, iż najlepszym kontekstem, najlepszym środowiskiem do czytania i objaśniania Pisma Świętego jest Kościół, a ściślej wspólnotowa liturgia. Nawet jeżeli do czytanego fragmentu Pisma nie dołącza się żadnego komentarza, liturgia sprawia, że wiadomo, iż jest to księga święta i że jest ona własnością Kościoła. Do dzisiaj zostało mi poczucie, że nie należy propagować czy zalecać zupełnie dowolnej czy całkowicie swobodnej lektury Pisma Świętego, ponieważ spotkanie z nim i jego owocność zależy nie tylko od zawartości ksiąg świętych, lecz również od sposobu ich rozumienia i objaśniania, a zatem od ich interpretacji. A więc Kościół jako wspólnota wierzących oraz kościół jako świątynia to najlepszy kontekst, w którym może i powinna się odbywać poprawna interpretacja Biblii.

*Czy jednak nieufność wobec indywidualnej lektury Pisma,
z jaką Ksiądz się w dzieciństwie spotkał, nie pociągnęła
za sobą jakichś negatywnych skutków?*

Istniała oczywiście druga, pod wieloma względami negatywna strona tego problemu. Mianowicie rodził się pewien stereotyp, który dość długo pokutował w moim życiu, iż po Pismo Święte sięgają „inni”, to znaczy nie-katolicy. Ci „inni”, to przede wszystkim Żydzi, o których wiele słyszałem od rodziców i sąsiadów. Wiedziałem, jak wielkim skarbem jest dla nich Pismo Święte, że żyjąc w Polsce czytali je i rozważali w swoich rodzinach. Wiedziałem również, chociaż też jako dziecko nigdy ich nie spotkałem, że Biblię czytają inni chrześcijanie, zwłaszcza protestanci. Innymi słowy, czytanie ksiąg świętych kojarzyło

mi się z takim pojmowaniem i przeżywaniem wiary, które jest odmienne od katolickiego. Czasami zastanawiałem się, dlaczego tak jest, ale żadna sensowna odpowiedź nie przychodziła mi do głowy. Niewiele pomagały lekcje religii, nigdy zresztą o te sprawy nie pytałem. Dość dobrze poznałem Nowy Testament, natomiast Stary Testament postrzegałem jako księgę tajemniczą, bo nieznaną, pełną nawiązań do rzeczywistości, która bezpo-
wrotnie minęła.

*Czy właśnie w tym tak wczesnym i żywym kontakcie ze Słowem
objawionym można upatrywać „korzeń” powołania Księdza?
Czy ma w ogóle Ksiądz świadomość, kiedy i skąd wzięło się jego
powołanie do kapłaństwa?*

Dotykamy chyba najbardziej intymnej strony tożsamości człowieka, a jednocześnie najciekawszej, najbardziej tajemniczej i najtrudniejszej do rozumowego uzasadnienia. Od czasu, gdy cokolwiek pamiętam, jak daleko sięgam myślą wstecz – zawsze bardzo chciałem być księdzem. Nigdy, ani przez moment, nie było inaczej. Naukę w szkole podstawowej rozpocząłem w 1957r., a więc w wieku sześciu lat, w Chrostowie. Wkrótce został wydany nakaz tzw. świeckości szkoły, na mocy którego usunięto z niej symbole religijne. Nie stało się to jednak od razu i natrafiło na silne opory rodziców. Jednym z najważniejszych wydarzeń dzieciństwa był dzień Pierwszej Komunii Świętej, który dobrze pamiętam. Przyjąłem ją 4 sierpnia 1960r. i przeżyłem bardzo mocno. Z jeszcze większą siłą pojawiło się pragnienie, by kiedyś samemu sprawować tajemnicę, która stała się moim udziałem. Oczywiście, wtedy nie potrafiłem wyrazić tego w ten sposób, ale intuicja była właśnie taka. Do przyjęcia

sakramentu całą naszą grupę dzieci przygotowywał kleryk warszawskiego seminarium duchownego Franciszek Gutowski. Byłem pewny, że pójdę w jego ślady. Jednak, choć może się to wydawać dziwne, nikt mnie do tego nie namawiał, nie zachęcał, ani w żaden szczególny sposób nie przygotowywał.

Nie łączyły mnie żadne specjalne więzy z parafią, jak większości chłopców, którzy po maturze trafiają do seminarium duchownego. Co więcej, powiem coś, co zabrzmi zapewne mało wiarygodnie: mój kontakt z księżmi był niewielki, prawie żaden, a nawet, szczerze mówiąc, środowisko księży mnie nie interesowało. Nigdy też nie byłem ministrantem, nie czułem takiej potrzeby, nie kręciłem się w sąsiedztwie zakrystii, bo to zawsze wydawało mi się innym światem, takim, do którego istnieje potrzeba posiadania jakiegoś osobnego klucza. Właściwie aż do matury moje kontakty z duchownymi ograniczały się do niedzielnej mszy świętej i systematycznej katechizacji. Nie odczuwałem potrzeby żadnych rozmów na tzw. poważne tematy czy kierownictwa duchowego, tak samo jak nie miałem żadnych wątpliwości ani wahań co do zasadności i treści wiary. Bóg, Jego istnienie i obecność w świecie i w życiu ludzi była i jest dla mnie czymś tak oczywistym, jak woda, ogień czy powietrze.

Mimo braku bliższych kontaktów z duchownymi pragnienie, żeby być księdzem, było silniejsze niż wszystko inne. Często marzyłem, że jestem z ludźmi i dla ludzi, że ich nauczam i prowadzę do Boga. To wszystko było bardzo silne, czasami nawet jakoś mnie zniewalało. Nigdy jednak nie czułem się przymuszany ani nie miałem żadnych rozterek i wątpliwości. Mogę powiedzieć z ręką na sercu, że nigdy nie myślałem o żadnym innym sposobie ułożenia sobie życia; w ogóle nie brałem pod uwagę takiej możliwości, że mógłbym nie zostać

księdzem. Taka ewentualność od zawsze była dla mnie nie do pomyślenia. Stale czułem i czuję nadal, że gdybym nie był kapłanem, byłbym głęboko i nieuleczalnie nieszczęśliwy.

Jak to pragnienie konkretnie się przejawiało?

Pragnienie kapłaństwa i moje myślenie o nim zawsze miało związek z pragnieniem sprawowania Eucharystii. Ale i tu pojawiał się przedziwny paradoks. Skłamałbym, gdybym powiedział, że na niedzielną i świąteczną mszę świętą zawsze szedłem z ochotą. Różnie bywało, raz z ochotą, kiedy indziej się ociągałem. Uczęszczałem jednak systematycznie, a sporadyczny brak mszy świętej w niedzielę czynił ów dzień zupełnie nieudanym. Zdarzało się to bardzo rzadko. Każde uczestnictwo we mszy bardzo przeżywałem. Dobrze pamiętam liturgię sprawowaną po łacinie i była to dla mnie przeogromna tajemnica. Eucharystia zawsze mnie zadziwiała, największe wrażenie pochodziło ze świadomości, że oto podczas mszy świętej, patrząc w świetle wiary, a z tą nigdy nie miałem trudności, losy Boga zależą od woli człowieka. Kapłan przy ołtarzu, sprawując Eucharystię, nie tylko wzywa Boga, zwraca się do Niego, prosi Go i Mu dziękuje, lecz sprawia, że Bóg rzeczywiście staje się pośród nas sakramentalnie obecny. Zawsze było to dla mnie niezwykle dojmujące doświadczenie, silne i atrakcyjne, już znane, a zarazem przyszłe i obiecujące. Wobec takiego przeżywania liturgii mszalnej moje pragnienia oscylowały wokół tego, żeby któregoś dnia móc sprawować tę najświętszą tajemnicę wiary. Często zdarzało się, że jako dziecko wyobrażałem sobie siebie przy ołtarzu i zastanawiałem się, jak czuje się człowiek, którego słowa są tak skuteczne.

*Czy były jeszcze jakieś inne przejawy „rodzącego się”
w Księdzu powołania?*

Pamiętam, że już w wieku trzech, może czterech lat bardzo lubiłem zamykać się w pokoju i modlić się w samotności. Tak rozumiana samotność nigdy mi nie ciążyła, to znaczy, lubiłem przebywać z ludźmi, ale znacznie bardziej wolałem przebywać sam ze sobą czy też sam na sam z Bogiem. Nie sprawiała mi też żadnej trudności modlitwa, ale nie w postaci odmawiania gotowych formuł, raczej jako wyraz świadomości bycia z Bogiem, rozmowy z Nim. Tak przejawiało się bardzo żywe przeświadczenie, że Bóg jest kimś niesłychanie realnym i obecnym przy mnie tak samo, jak wszyscy ci, wśród których się obracam.

Potem wielokrotnie przekonywałem się, że ufna wiara to wielka łaska. Dlatego nie przestaję być za nią Bogu wdzięczny. Moja trudność polega na tym, że chyba nie potrafię rozmawiać z tymi, którzy w Boga nie wierzą. Rzadko ich spotykam i po prostu nie czuję ani nie jestem w stanie zrozumieć ich postawy. Dla mnie to tak, jakby ktoś, kto płynie statkiem, zaprzeczał istnieniu morza. Sporadyczne kontakty, jakie miałem i nadal miewam, potwierdziły prawdziwość powiedzenia Chestertona, iż ludzie, którzy nie wierzą w Boga, nie zaczynają wierzyć w nic, lecz uwierzą we wszystko. Dzieje się tak, ponieważ człowiek jest z gruntu, w naturalny sposób istotą religijną. Jeżeli jest inaczej, miejsce religii zajmuje frustracja, a także przesady i zabobony, a więc pseudoreligia lub parodiowanie religii. To, z czym na ogół mamy do czynienia, to nie jest niewiara, lecz obojętność na sprawy duchowe, brak wrażliwości na to, co wewnętrzne i głębsze, a poprzestawanie na

tym, co powierzchowne i doraźne. Raz tylko spotkałem człowieka, który wyznał, że nie wierzy w Boga, że bardzo z tego powodu cierpi i zazdrości tym, którzy w Niego wierzą. Po dłuższej rozmowie okazało się, że nie chodzi o niewiarę, ale o radykalny bunt przeciw Bogu, zrodzony na skutek ciężkich doświadczeń życiowych – a to już zupełnie inna sprawa. W takich przypadkach świadomość istnienia Boga oraz Jego obecności i oddziaływania może być nawet silniejsza niż u osób, które z wyznawaniem Go i przyznawaniem się do Niego nie mają żadnych kłopotów.

*Trudno jednak wyobrazić sobie, by taka świadomość
obecności Boga i życie modlitewne rozwinęły się
u dziecka bez udziału rodziny.*

Mam ogromny szacunek dla swoich rodziców, mamy i ojca. Ponieważ wyjechałem z domu jako dziecko, zawsze pozostaje mi w oczach i w sercu przede wszystkim ich obraz z dzieciństwa i taki w gruncie rzeczy był i jest mój stosunek do nich. Mama zmarła w drugi wtorek października w Wielkim Jubileuszu Roku 2000. Ojciec zmarł w drugi wtorek października 2004 r. Ich wiara i sposób przeżywania Boga nie różniły się od tego, jak wyrażali tę wiarę sąsiedzi oraz inni znani mi ludzie. Kiedy czytam o wzorach rodziców – na przykład Jan Paweł II wspominał, że gdy się budził w nocy, zastawał swojego ojca modlącego się na kolanach, i że dla rozwoju jego powołania było to bardzo ważne – to z mojego rodzinnego domu nie pamiętam takich wydarzeń. Ojciec modlił się, czasami nawet żarliwie, mama też, więcej niż ojciec. Pamiętam, że we wczesnym dzieciństwie klękali z moim młodszym bratem i ze mną do modlitwy, a w niedziele

Wielkiego Postu śpiewaliśmy wspólnie „Gorzkie Żale”. Szczególnie uroczysta oprawa była związana ze świętami Bożego Narodzenia i z Wielkanocą, czemu towarzyszyło bardzo silne przywiązanie do tradycyjnych obrzędów i zwyczajów.

Wiara moich rodziców była silnie osadzona w tradycji, a ten związek uważam za wielkie błogosławieństwo. Wiara to nie tylko sprawa osobistego wyboru, lecz i solidnego zaplecza społecznego i kulturowego. Wielekroć się przekonałem, że gdy komuś słabnie wiara, ocaleniem dla niej jest właśnie tradycja. Przykładowo, gdy ktoś przeżywa kryzys wiary w istnienie dobrego Boga albo wcielenie Syna Bożego, ratunkiem dla jego chrześcijańskiej tożsamości może być wspaniała oprawa Świąt Bożego Narodzenia, opłatek, choinka, rodzinna serdeczność i czułość. Włączając się w łańcuch pokoleń, które stworzyły i przekazują tę tradycję oraz doznając miłości ze strony bliskich, taki człowiek zaczyna w nowy sposób postrzegać dobroć i bliskość Boga. Dlatego zawsze z wielką nieufnością postrzegam działalność tych kręgów, widoczną również w Polsce, także w obrębie Kościoła, które twierdząc, że chodzi im o przyspieszenie dojrzewania wiary, lekceważą, ośmieszają i uderzają w naszą katolicką i polską tradycję. Gdy kogoś pozbawimy osadzenia w tradycji, jego wiara staje się оголоcona i wystawiona na próby, z których rzadko taka osoba wychodzi zwycięsko.

Aczkolwiek byłem od dziecka mocno osadzony w ojczystej tradycji, moje najbardziej osobiste spotkania z Bogiem – chcę tutaj być jak najbardziej szczery – odbywało się bez pomocy z zewnątrz czy też, jeśli można tak powiedzieć, bez pośredników. Później, gdy byłem w seminarium duchownym i czytałem Starego Testament, przeżycia z dzieciństwa skojarzyły mi się z przeżyciami małego Samuela. Podobieństwa nasuwała nie bliskość

sanktuarium, lecz młody wiek biblijnego bohatera. Mając na względzie własne dzieciństwo, jestem przekonany, że dziecko cztero-pięcioletnie jest jak najbardziej zdolne do samodzielnych i głębokich przeżyć religijnych.

To, co powiedziałem o atmosferze w domu rodzinnym, nie zmienia faktu, że gdy mówiłem rodzicom o swoim pragnieniu zostania księdzem, przyjmowali to z prawdziwą aprobatą. Wiedzieli o moich planach i czynili wszystko, aby pomóc w ich urzeczywistnieniu. Bez nich, bez ich ofiarności i wyrzeczenia nie mógłbym spełnić tego, czego pragnąłem, ani osiągnąć tego, co stało się moim udziałem. Warunki materialne bywały trudne, a oni dołożyli wszelkich starań i troski, abym mógł kontynuować swoją edukację oraz urzeczywistnić plany i marzenia.

A może jacyś księża stanowili tu przykład lub inspirację?

Jak już mówiłem, specyficzny świat księży, ministrantów i zakrystii był mi w dzieciństwie zupełnie nieznany, a nawet obcy. Proboszcz, ks. Stanisław Murawski, dość wcześnie wiedział o moich planach, ale patrzył na to, co się działo, bez prób ingerowania czy przyspieszania czegokolwiek. Do kościoła miałem cztery kilometry, a jedynym widocznym znakiem pewnej większej gorliwości może było to, że w Adwencie lubiłem bardzo wcześnie rano chodzić na roraty. Do dzisiaj pamiętam drogę przez las, szczekanie psów, tajemnicze odgłosy różnych leśnych zwierząt i skrzypiący śnieg pod nogami. Powrót odbywał się za dnia, co sprawiało, że swoje uczestnictwo przeżywałem jako swoiste narodziny.

Co się tyczy rozwoju powołania, to właściwie nie wiem, czy miał on miejsce. Po prostu od zawsze chciałem być kapłanem

i nikt mnie do tego nie musiał zachęcać ani przekonywać. Nie potrzebowałem tego ani nie ułatwiałem, bo uchodziłem za dziecko dość skryte, które niechętnie obnosiło się ze swoimi uczuciami i odczuciami. Żyłem we własnym świecie i on mi wystarczał. Przyjaźniłem się ze zwierzętami i ptactwem – z wzajemnością – więc nieodłącznymi towarzyszami mojego dzieciństwa były koty i psy, konie i krowy, kury, gęsi i kaczki, wróble i wrony. Przyjaciółmi i powiernikami byli jednak przede wszystkim bohaterowie przeczytanych książek. Oni wszyscy we mnie pulsowali życiem, byli ze mną i mnie wspomagali. Miałem wielu takich przyjaciół i pozostają mi bardzo bliscy. Równie silnie byli ze mną obecni bohaterowie Ewangelii i Dziejów Apostolskich, i tak zostało również w dorosłym życiu.

Przyjrzyjmy się więc trochę dokładniej „światu”, w którym Książd dorastał. Przede wszystkim powiedzmy jeszcze kilka słów o miejscu narodzin i dzieciństwa Książda. Rodzinna miejscowość nazywa się Chrostowo i w sposób dość wyraźny wiąże się z nazwiskiem Książda.

Moi przodkowie to drobna szlachta, osadzona w XIII i XIV w. na północnych krańcach Mazowsza, gdy stanowiło ono własność książąt mazowieckich. Nieco dalej na północ, za Narwią, rozciągało się pogranicze z Prusami i Krzyżakami, a bardziej na wschód z Jaćwieżą i Litwinami. Najeżdźcy często zapuszczali się aż pod Ciechanów i Pułtusk. Służąc u boku księcia i stawiając się w zbroi na wypadek wojny lub wyprawy, rycerz otrzymywał ziemię i tak powstały liczne osady szlacheckie. Pierwsza historyczna wzmianka o osadzie Chrostowo pochodzi z akt datowanych na 1405 r. Wraz z upływem

czasu osada stała się rodowym gniazdem szlacheckiej rodziny Chrostowskich. W aktach z 1473 r. jest wymieniany Wojciech z Chrostowa, zaś z 1483 r. Mikołaj z Chrostowa *ex armis Lubicz*, herbu Lubicz. Wierna reprodukcja tego herbu znajduje się w Muzeum Diecezjalnym w Siedlcach, zapewne dlatego, że szlachta mazowiecka i podlaska sąsiadowały ze sobą i miały wiele wspólnego. Chrostowo należy do erygowanej w 1443 r. parafii Troszyn, pod wezwaniem św. Bartłomieja Apostoła. Cała okolica znajduje się na wschodnich rubieżach Kurpiowszczyzny w najogólniejszym zasięgu tego regionu, ale poza obszarem rozmieszczenia Kurpiów Puszczy Białej i Puszczy Zielonej. Bardziej na wschód rozciągała się Puszcza Czerwona, po której pozostał jej fragment znany jako Czerwony Bór. Nie tylko nazwa Chrostowa jest związana z nazwiskiem – tak się dzieje w całej okolicy. Zygmunt Gloger we wstępie do *Herbarza* Ignacego Kapicy Milewskiego napisał: „Szlachta mazowiecka i podlaska nazwiska swoje jak i prawie wszystka inna w kraju, wzięła od wsi, w których dziedziczyła. Jeżeli więc w jednej wsi było kilkunastu lub więcej dziedziców, to często kilkadziesiąt rodzin jednego zaczęło używać nazwiska”. Obok jest wieś Choromany, więc Choromańscy, Rostki, więc Rostkowscy, Opęchowo, więc Opęchowscy, Milewo, więc Milewscy, Kleczkowo, więc Kleczkowscy – i można tak mnożyć.

Moi przodkowie zatem to drobna szlachta mazowiecka, nazywana szaraczkową, zagrodową lub zaściankową. Obok przywileju posiadania i dziedziczenia dóbr, przysługiwały im prawa i swobody obywatelskie, które zawsze bardzo cenili. Nawet najuboższy szlachcic cieszył się wolnością osobistą oraz miał poczucie godności i dumy. W 1526 r., po bezpotomnej śmierci ostatniego księcia mazowieckiego, Mazowsze zostało

przyłączone do Korony i podzielone na trzy województwa. Jednym z nich było województwo mazowieckie, a w nim ziemia łomżyńska, do której należał powiat ostrołęcki, a w jego obrębie znajdowała się parafia troszyńska. Miejscowi szlachcice to w ogromnej większości właściciele kilkunastomorgowych pól, które sami uprawiali, nie mieli bowiem służby ani poddanych. Grunty były dziedziczne, a ponieważ dzieci rzadko opuszczały rodzinne siedziby, dzielono ziemię do granic możliwości bądź spłacano rodzeństwo. Do naszych czasów przetrwała świadomość silnych więzi, świadczących o wspólnym pochodzeniu. W XVII w. tędy prowadziły szlaki przemarszu wojsk szwedzkich, a na początku XIX w. wojsk Napoleona i rosyjskich. Zarówno Francuzi, jak i Rosjanie spłądrowali i ograbili kościoły w Troszynie i Kleczkowie. W 1822 r. Chrostowo płaciło dziesięcinę na rzecz swojej parafii w wysokości 20 złotych. Podczas Powstania Listopadowego w Troszynie znajdował się sztab armii polskiej, którą dowodzili generałowie Ignacy Prądzyński i Jan Skrzynecki. W XIX w. miejscowa ludność zubożała. Znalazła się pod zaborem rosyjskim, lecz silny patriotyzm i przywiązanie do Kościoła katolickiego sprawiły, że nie ulegała rusyfikacji.

Czy w Chrostowie żywa była pamięć burzliwej historii?

Kiedy byłem dzieckiem, wciąż bardzo żywa była pamięć o zaborach, zwłaszcza o powstaniu styczniowym. Od odzyskania niepodległości upłynęło wtedy niespełna około czterdzieści lat, więc żyło wielu ludzi starszych, którzy dobrze pamiętali zabór rosyjski, posługiwali się sprawnie językiem rosyjskim, ponieważ mieli za sobą rosyjskie szkoły, brali udział w zbroj-

nych wydarzeniach tamtych lat. Na cmentarzu w Troszynie został pochowany Jan Chrostowski, dowódca powstania listopadowego ziemi troszyńskiej, schwytany i publicznie powieszony przez Rosjan. Podczas pierwszej wojny światowej w okolicach Chrostowa miały miejsce ciężkie walki niemiecko-rosyjskie, których świadectwem jest kilka okolicznych cmentarzy. W latach mojego dzieciństwa żyły osoby, które uczestniczyły w rewolucji październikowej, oczywiście po stronie carskiej, bo zostali wcieleni do carskiego wojska. Istniała też pamięć o wywózkach i zsyłkach na Sybir. Opowiadano o bolszewikach, którzy w 1920 r. w popłochu uciekali spod Warszawy, a także o Wilnie i Grodnie, a nawet Nowogródku i Lidzie oraz Błotach Pińskich. Te geograficznie odleglejsze miejsca długo były mi jako dziecku jakoś bliższe niż Warszawa. Szczególnie pamiętam pana Wincentego Olejarczyka, z którym bardzo lubiłem rozmawiać i od którego bardzo wiele się dowiedziałem. Miał we mnie chyba najwierniejszego i najwytrwalszego słuchacza. Długie jesienne i zimowe wieczory sprzyjały sąsiedzkim spotkaniom i snuciu wspomnień. Każdego roku na nowo odżywały te same opowiadania i wątki, przedziwnie uzupełniane i aktualizowane. Dzięki temu, znacznie później łatwiej rozumiałem, co to znaczy przekaz nieliteracki, ustny, który poprzedził powstanie wielu ksiąg biblijnych.

Najżywsza była pamięć dramatów drugiej wojny światowej. Chrostowo znajdowało się niespełna półtora kilometra od ustalonej jesienią 1939 r. po napadzie na Polskę granicy między hitlerowskimi Niemcami i stalinowskim Związkiem Radzieckim. Miejscowa ludność żyła w dużej mierze z przemytu, a uczestnicy ryzykownych wypraw długo i barwnie opowiadali o swoich przygodach. Gdy w czerwcu 1941 r. Niemcy uderzyli

na Związek Radziecki, Chrostowo zostało przez nich zajęte w pierwszej kolejności. Trzy lata później Rosjanie w marszu na Berlin znowu wrócili, a w pobliżu wsi ustawiono katiuszę. Ojciec i sąsiedzi pamiętali wielu zabitych i rannych, Niemców i Rosjan. Ważne miejsce we wspomnieniach wojennych zajmowała Warszawa, zaś najbardziej tragiczne opowiadania wiązały się z Powstaniem Warszawskim. W okolicie Ostrołęki i Łomży trafiali uciekinierzy ocaleni ze zburzonej i spalonej stolicy. Przynosili wieści dramatyczne, które budziły prawdziwą grozę. Moje dzieciństwo przypadło na okres kilkunastu lat po tych wydarzeniach. Wojna zabrała z Chrostowa osiedloną tam „od zawsze” rodzinę żydowską. Pamiętano o niej i opowiadano z wielką życzliwością. Bohaterami podobnych opowiadań byli też Żydzi ostrołęccy, ostrowscy i łomżyńscy. Powiedziałbym, że czuło się dziwną nostalgię za światem, który definitywnie przeminął, a zarazem bezradność połączoną z poczuciem paraliżującego leku. Zastanawiało mnie to i intrygowało. Byłem jednak za mały, by stawiać pytania, jakie dojrzały znacznie później.

*Z jednej strony kształtowała Księżda historia, z drugiej chyba
równie mocno geografia, przyroda.*

Historia, a także archeologia. Gdy byłem dzieckiem, podjęto w pobliżu Chrostowa prace badawcze, których rezultatem były znaleziska z epoki żelaza, datowanej na tych ziemiach na pierwsze stulecia ery chrześcijańskiej. Z podziwem patrzyłem na ekipę archeologów, przekonany od tej pory, że niemal w każdym dowolnym miejscu ziemia kryje wielkie skarby. Z jednego z okolicznych żwirowisk pochodzą fragmenty glinianego naczynia

i pogięty miecz, które trafiły do muzeum. Nieopodal, pod wsią Rostki, gdzie odkryto wiele różnych starożytnych przedmiotów, znajdują się tajemnicze kamienne kręgi, prawdopodobnie starożytne cmentarzyska. Gdy je pierwszy raz zobaczyłem, wywoływały respekt i bojaźń. Zawsze mocno mnie intrygował osobliwy teren niedaleko naszego domu nazywany Żal. Ani ojciec ani nikt inny nie potrafił mi wyjaśnić tej nazwy. Z czasem dowiedziałem się, że mogło to być dawne pogańskie miejsce pochówku albo miejsce pogrzebania ofiar masowej zarazy. Bodaj ostatnia zaraza, nazywana morowym powietrzem, zebrała żniwo śmierci w 1710r., o czym wspominają kroniki klasztoru bernardynów w Ostrołęce.

Wioska, w której wzrastałem, zapewne nie wyróżnia się niczym szczególnym spośród innych mazowieckich wsi, jednak dla mnie jest to jedno z najpiękniejszych i najważniejszych miejsc na ziemi. Ten krajobraz dogłębnie mnie ukształtował. W dawnych czasach w pobliżu Chrostowa była puszcza oraz bagna, teraz nie ma po nich prawie śladu. Drzewa, które doskonale znam i pamiętam, to dęby i wiązy, jesiony i leszczyny oraz wierzby. Pola, których zapachy nadal czuję, małe zagajniki, które wyznaczały punkty orientacyjne pejzażu dziecka, las, który ze zmrokiem przeobrażał się w rzeczywistość niezwykle tajemniczą, chmury na niebie układające się w nowe fantastyczne wzory, które przywoływały najrozmaitsze skojarzenia... W lasach było sporo dzikich zwierząt, a moją największą sympatię budziły zające. Nie lubiłem okresu zimowego, kiedy na nie polowano.

Przy każdej drodze wyjazdowej z Chrostowa stał krzyż. Było ich cztery, ale dla mnie najważniejszy był ten w kierunku Troszyna. Drewniany i najwyższy, zawsze wydawał mi się

bardzo stary i czcigodny. Przy nim odbywały się „wyprowadzenia”, czyli pierwsza, najbardziej poruszająca część pogrzebu. Trumnę z ciałem niesiono z domu do krzyża, gdzie odbywały się ostatnie modlitwy. To miejsce zawsze wydaje mi się bardzo ważne – jakby znak „końca świata” i przedśionek nieba. Szczególnie utkwił mi w pamięci pogrzeb mojego dziadka ze strony matki.

Właśnie, kim byli dziadkowie?

Dziadek ze strony matki, Stefan Wierzbowski, pochodził z Wierzbowa. Po śmierci pierwszej żony ożenił się drugi raz, z dziewczyną dwadzieścia lat młodszą od siebie – miała osiemnaście lat. Ich pierwszą córką była Zofia, moja mama. Wkrótce przyszła na świat Natalia, jej siostra. Dziadek szukał szczęścia za Oceanem, ale go tam nie znalazł i wrócił do Polski. Podczas wojny moja babcia zmarła, znam ją więc jedynie z opowiadań mamy. W Nowy Rok 1945 zmarł Adam Chrostowski, dziadek ze strony ojca, którego też pamiętać nie mogę. Jego żona, a moja babcia, Stanisława z domu Czaplicka, pochodziła oczywiście z Czaplic. Mieszkała u stryja Piotra, brata mojego ojca, i zmarła, gdy byłem dzieckiem. W tamtych czasach wsie dzieliły się na „szlacheckie” i „włościańskie”, nawet w poszczególnych wsiach, np. w Troszynie, podział też tak przebiegał. Polska Ludowa, stopniowo lecz skutecznie, zaprowadzała równość i na skutek tego wszyscy jednakowo klepali biedę. Sprzyjało to zacieraniu się dawnych różnic, obecnie one chyba już nie istnieją a w każdym razie nie są tak ważne jak kiedyś.

Najbardziej byłem zżyty z dziadkiem Stefanem. Krótco przed śmiercią bardzo go uradowałem: wygrałem zegarek w konkursie ogłoszonym przez tygodnik „Zorza Świąteczna”. Nagroda

przysła pocztą – nowa „Ruhla” (180 zł!), dziadek był ze mnie dumny. Ciężko chory i coraz słabszy, zapowiadał, że daleko zajdę. Zmarł na początku czerwca 1962 r., a jego pogrzeb pozostał jednym z najsilniejszych wspomnień mojego dzieciństwa.

Wspomnienie o przydrożnym krzyżu wyzwoliło pamięć najbliższych. Więc krzyż był dla Księdza ważny...

Mama, wracając przy jakiejś okazji ze mną z Troszyna, przy krzyżu za wsią Chrzczony nauczyła mnie modlitwy: „Przez krzyż i mękę Twoją, zbaw Jezu duszę moją”. Poleciła mi ją zawsze odmawiać. Staram się to robić. Przydrożne krzyże to znaki wiary i historii, bo w Polsce obydwa wymiary są nierozłączne. Lubię je oglądać i zastanawiać się, co widziały.

Inny ważny epizod z dzieciństwa to przydomowa kapliczka. W Zielone Świąta 1960 r. wybuchł w Chrostowie wielki pożar, który strawił pół wsi. Ogień pochłonął zabudowania położone kilkadziesiąt metrów od naszego, wtedy drewnianego, domu. Widziałem, jak ze starych belek płynęła gorąca żywica, ale dom ocalał. Rodzice, jako wotum dziękczynne, wybudowali kapliczkę, umieszczając w niej figurkę Pana Jezusa. Jakiś czas potem rozpoczęły się represje ze strony władz. Najpierw naloty urzędników i nakazy rozebrania tej kapliczki, później wezwania na kolegium i kary pieniężne. Po kolejnej takiej karze (300 zł!), mama maczała chleb w wodzie; dla mnie i dla brata posypywała go cukrem, tłumacząc, że sama lubi chleb bez cukru. Zrozumiałem, że tak wygląda początek niedostatku i głodu. Pomimo grózb i nacisków kapliczka pozostała i nadal istnieje. Mam do niej wielki sentyment. Posadziłem obok niej piękną lipę, którą długo doglądałem. Na swoje nieszczęście

urośla i została wycięta, bo podobno przeszkadzała drutom telegraficznym. Niezliczone mnóstwo drzew zapłaciło życiem za nowoczesność i naszą wygodę.

W latach 70. w miejscu starego domu, w którym się urodziłem, rodzice wybudowali nowy dom. Niedługo potem przenieśli się do podwarszawskich Ząbek, gdzie oboje dożyli starości i zmarli. Bardzo lubię wracać do Chrostowa, spacerować po polach i lesie, ścieżkami, które znam i pamiętam z fotograficzną dokładnością. Gdy pięć lat mieszkałem poza Polską, albo gdy obecnie wyjeżdżam za granicę na dłuższy czas, jeśli mam na obczyźnie jakieś sny, to ich kontekstem jest ziemia dzieciństwa. Kiedy śni mi się Polska, śni mi się taka, jaka istnieje właśnie tam, w Chrostowie.

W dzieciństwie już kształtowało się to najważniejsze powołanie – kapłańskie, ale kształtował się też ten drugi wymiar powołania Księdza, związany z obecnością w szeroko rozumianej sferze kultury. Pismo Święte nie było jedyną książką, którą Ksiądz z pasją pochłaniał?

Czytałem bardzo dużo, co dla rodziców było pewnym kłopotem, bo często kupowali mi książki, a nie zawsze mogli to robić, ponieważ sytuacja materialna bywała trudna. Najbliższa księgarnia, chociaż to chyba przesadzona nazwa, po prostu sklepik, w którym obok wielu innych rzeczy sprzedawano książki, znajdowała się w Troszynie. Gdy byłem starszy, zachodziłem do niego bardzo często. W tamtejszej szkole podstawowej w roku szkolnym 1963/1964 ukończyłem ostatnią, siódmą klasę. Największym przewinieniem z tamtych czasów było chyba to, że brałem z księgarni książki na kredyt, czasu-

mi nie mówiąc o tym mamie. Gdy nie mogłem ich spłacić z jakichś niewielkich oszczędności, mama dowiadywała się o tym od sprzedawczyni, która wiedziała o mojej pasji i była bardzo wyrozumiała.

Jeżeli chodzi o treść moich lektur, najpierw był oczywiście Henryk Sienkiewicz. Wpływ podniosłych obchodów 550. rocznicy bitwy pod Grunwaldem był tak silny, że prosiłem, by mama kupiła *Krzyżaków*. Dobrze pamiętam, z jakim przejęciem czytałem tę powieść i wyobrażałem sobie, że przedstawiane w niej sytuacje i losy rozgrywają się w miejscach niezbyt odległych. Płakałem czytając o śmierci Danusi i mocno współczułem Jurandowi. Ogromnym przeżyciem była również Trylogia, tym bardziej że został w niej wspomniany sąsiedni Czerwin. Wkrótce doszły historyczne powieści Józefa Kraszewskiego, Bolesława Prusa i pozostała polska klasyka. W domu naszych sąsiadów, państwa Zaorskich, była całkiem pokaźna biblioteczka. Zapewne pod wpływem opowiadań o Rosji jednym tchem przeczytałem *Wojnę i pokój*, *Cichy Don* oraz inne perły literatury rosyjskiej. Szczególnie zapamiętałem *Drogę przez mękę*, która bardzo poruszyła moją wyobraźnię. Gdy jesienią 1989 r. udałem się z pierwszą grupą Rodzin Katyńskich do Katynia, na naszej drodze znalazł się Mińsk Białoruski, a potem Smoleńsk. Jego wygląd z oddali, widok pięknych cerkwi z zielonymi kopułami otoczonymi soczystą zielenią, skojarzył mi się z opisami, które pamiętałem z dzieciństwa. Nieco później równie głęboko przeżyłem spotkanie z Moskwą, której obraz urobili we mnie wielcy rosyjscy pisarze. Wracając do dzieciństwa: w piątej klasie zacząłem się uczyć rosyjskiego, który bardzo mi się podobał. Uważam, że obok francuskiego, to najpiękniejszy język świata, najbardziej melodyjny, barwny i porywający.

A lżejsze lektury?

Chyba wszystkie „Tomki”: *Tomek na wojennej ścieżce*, *Tomek wśród łowców głów*, *Tomek w krainie kangurów...* Pochłaniały mnie całkowicie, z nich poznawałem odległe i egzotyczne światy. A także książki Juliusza Verne’a! Często czułem się tak, jakbym uczestniczył w przygodach jego bohaterów. Podróżowałem z nimi w przestworza, odbywałem z nimi podmorską żeglugę i podziwiałem najbardziej osobliwe miejsca na ziemi. Wyobrażenia pulsowała tym wszystkim, a nastrój zależał w dużej mierze od akcji, o której była mowa w książkach. Mały strumień, który płynie w pobliżu Chrostowa, wydawał mi się głęboką rzeką, w której można rozpocząć podróż łodzią podwodną po morzach i oceanach. Nie, tego się nie da opowiedzieć! Jeszcze oczywiście *Hrabia Monte Christo* Aleksandra Dumasa. A ponadto co najmniej kilkadziesiąt książek z „Tygrysem”. Kosztowały po pięć złotych i przedstawiały rozmaite epizody drugiej wojny światowej. Tu miałem sprzymierzeńca w ojcu, który od czasu do czasu kupował nowego „Tygrysa” i wtedy wymienialiśmy je między sobą. W końcu i tak wszystkie trafiały na żółtą etażerkę, na której pieczołowicie układałem swoje książki. To było moje królestwo, najbardziej mój ze wszystkich kącików w całym domu.

Ważne miejsce zajmowały czasopisma, które ojciec prenumerował. Dzięki nim byłem dosyć dobrze obeznany z problematyką wiejską i rolniczą, a także społeczno-polityczną. Sąsiedzkie rozmowy na te tematy były bardzo częste. Ludzie zachowywali bardzo trzeźwą rezerwę wobec ustroju, jaki został narzucony po wojnie. W całej gminie do partii należało tylko kilkanaście osób i wcale się z tym nie obnosiły. Prości ludzie, inaczej niż wielu inteligentów, nie puścili w najem swojego rozumu, a slo-

gany oficjalnej propagandy przyjmowali z przymrużeniem oka lub niechętnie. Dlatego wcześniej poznawałem historię, tak jak przekazywano ją w rodzinach, bo podręczniki szkolne nie cieszyły się autorytetem. Wiedzieli o tym dobrze nauczyciele i nawet nie próbowali nam „prostować” rodzinnej wiedzy o początkach i przyczynach wojny, o komunizmie lub Katyniu. Mama była krawcową i chętnie przeglądała to, co dotyczyło kroju i szycia. Często otrzymywała jakieś wykroje i wzory, z których korzystała „obszrywając” sąsiadki. Regularnie przychodził do naszego domu dziennik „Słowo Powszechne” i tygodnik „Zorza Świąteczna”, z których miałem wiadomości o sprawach społecznych i politycznych oraz o Kościele i religii.

W 1963 r. silnie wstrząsnęła mną wiadomość o śmierci „Dobrego papieża” Jana XXIII. Z wielkim przejęciem oglądałem w „Zorzy” fotografie kardynałów, którzy wybierali jego następcę – Pawła VI. Patrząc na twarze, typowałem „swoich” kandydatów, Szczerze się cieszyłem, że kard. Giovanni Battista Montini do nich należał. Może dlatego zawsze był mi bliski, a piętnaście lat później, gdy miałem rozpocząć studia biblijne, wiadomość o jego śmierci, która zastała mnie w Holandii, przywołała wspomnienia z dzieciństwa. Jego odejście kojarzyło mi się bardziej z Chrostowem niż z Rzymem. W tym samym czasie, gdy miałem dwanaście lat, doświadczyłem pierwszej bardzo ważnej zmiany w swoim życiu. Wiedząc, że będę musiał zdawać egzaminy do liceum w Warszawie, postanowiliśmy, że do ostatniej, siódmej klasy szkoły podstawowej, będę uczęszczał w Troszynie. Opuściłem grono kolegów i koleżanek i znalazłem się w nowym otoczeniu. Różne szczegóły tych nowości pamiętam doskonale. Był to początek zmian i przenosin, które odtąd stale mi towarzyszyły.

Co jeszcze rozbudzało wyobraźnię?

Radio, radio i jeszcze raz radio. Byłem i jestem namiętym, wiernym i wdzięcznym słuchaczem radia. Telewizja może dla mnie w ogóle nie istnieć i w gruncie rzeczy jej nie potrzebuję. Jedno z ważnych pierwszych wspomnień, które ma ścisły związek ze słuchaniem radia, łączy się z powrotem do Polski arrasów wawelskich. Kończyłem wtedy dziesięć lat i bardzo się cieszyłem, że są znowu w miejscu, na które czterysta lat wcześniej sprawił je król. Bardzo chciałem je zobaczyć, co spełniło się znacznie później, w ramach wycieczki do Krakowa. Książki towarzyszyły mi za dnia, a wieczorem – radio. Najczęściej: „Tu Warszawa – Program I”. Znałem stałe pory poszczególnych audycji, również cyklicznych. Wielu systematycznie słuchałem, na przykład *Muzyka i aktualności* oraz *Moskwa z melodią i piosenką słuchaczom polskim*. Lubilem rosyjskie piosenki i muzykę, a szczególnie poruszała mnie *Wołga, Wołga*. Teraz w Polsce wcale tych melodii nie ma, czego bardzo żałuję.

Słuchałem też prawie codziennie dwóch innych stacji z zapowiedziami „Tu Waszyngton, słyszą Państwo Głos Ameryki” oraz „Mówi Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa”. Nawet teraz mam w uszach głos spikerów. Porównywałem wiadomości z radia z Warszawy oraz z radia zagranicznego. Jeżeli chodzi o wiadomości, najbardziej ceniłem „Warszawę” i „Waszyngton”. Aczkolwiek dotyczyły tego samego, często były zupełnie odmienne. Dość wcześnie przestało mnie to dziwić. Domyślałem się, że prawda leży pośrodku i sam próbowałem jej dociekać. Zostało mi to do dzisiaj.

Radio to była również muzyka. Przepadałem za jej słuchaniem. Muzyka poważna długo była dla mnie za poważna,

ale muzyka Chopina podobała mi się od zawsze. Miałem wrażenie, że rozbrzmiewa dosłownie wszędzie, a najbardziej w wierzbach, do których miałem szczególny sentyment, oraz latem na polach z dojrzałymi zbożami. Chopin, polne maki i chabry... Bardzo chciałem nauczyć się grać na jakimś instrumencie. Zazdroszczę każdemu, kto to potrafi, ale nie miałem takiej możliwości.

*Książd już wtedy nie tylko dużo czytał i słuchał,
ale też dużo pisał.*

Istniał bowiem jeszcze jeden kontekst, który w tamtych warunkach bardzo mnie kształtował – to była korespondencja z rówieśnikami. Oprócz książek, regularnie czytałem wszelkie dostępne czasopisma dla dzieci i młodzieży – „Świerszczyk”, „Płomyczek”, „Świat Młodych”, „Płomyk”. W nich natrafiłem na adresy rówieśników z różnych stron świata, którzy byli chętni do korespondowania z kimś z Polski. Mając jedenaście-dwanaście lat, pisałem listy do Czelabińska, do chłopca, który był ode mnie kilka lat starszy. Opisywaliśmy swoje miejscowości, zainteresowania, zajęcia itp. Oczywiście próbowałem pisać po rosyjsku. Do dzisiaj nie wiem, jak to było możliwe, że mój przyjaciel to rozumiał. Przesyłałiśmy sobie nawzajem rozmaite widokówki i znaczki pocztowe. Pamiętam, że przysłał mi znaczki radzieckie upamiętniające w 1960r. Olimpiadę w Rzymie i widokówki ze zdjęciami wielkich brzozowych lasów rozciągających się wokół jego miasta. Zatem dla mnie Czelabińsk i jego okolice to brzozy, bardzo piękne drzewa.

Drugi kierunek korespondencji stanowiły Czerkasy na Ukrainie. Pisałem listy do dziewczyny, której ojciec pływał po

Dnieprze, a matka była bileterką w kinie. Ponieważ ojciec zabierał córkę na wycieczki po rzece, wspaniale opisywała mi Dniepr. Jedno z największych przeżyć, jakie miałem w dorosłym życiu, przyszło wtedy, gdy po około czterdziestu latach od czasu tamtej korespondencji stanąłem nad Dnieprem. Miałem wykłady w Kijowie i podjąłem się ich przede wszystkim dlatego, żeby zobaczyć Dniepr. Patrząc na tę piękną rzekę, myślałem cały czas o dziewczynie z Czerkas. Jeżeli żyje, jest dorosłą kobietą, może nawet babcią.

Trzeci kierunek to była Szwecja – dziewczyna, która mieszkała w miasteczku Nörsjö, na południu kraju. Zachowała się widokówka, którą mi przysłała, z czarno-białą fotografią kościoła, w którym się modliła, a była protestantką. Na odwrocie napisała: „This is my church. The colour of it is red”. To było moje pierwsze spotkanie z językiem angielskim. Prosiła, bym jej przysłał widokówkę z moim kościołem i nie mogła zrozumieć, dlaczego jest to niemożliwe. Odpisywałem, korzystając ze słownika i na pewno była to angielszczyzna w rodzaju „Thank you from the mountain”, czy coś podobnego. Ale rozumieliśmy się doskonale, a nasza przyjaźń się rozwijała.

I wreszcie czwarty kierunek – Ameryka, stan Pensylwania, miasteczko Youngsville. Moja koleżanka miała na imię Barbara, jej dziadek po pierwszej wojnie światowej wyemigrował z Polski, a ona języka polskiego już nie знаła. Pisałem po polsku, dziadek jej tłumaczył, ona odpisywała po angielsku, a ja ze słownikiem w ręku dociekałem, o czym pisze. W każdy list wkładała jeden dolar, a na Boże Narodzenie – pięć. Zachowało mi się jej zdjęcie: mając szesnaście lat, siedzi na masce potężnego cadillaca. Jej listy zawsze były najdłuższe, wyróżniały się szczegółowością opisu i rozmachem.

Tak w małym Chrostowie położonym na północnych krańcach Mazowsza ocierałem się o wielki świat. Korespondencja z rówieśnikami była dla mnie bardzo, bardzo ważna. Jedną z najbardziej wyczekiwanym osób w dzieciństwie był zawsze listonosz – pan Mieczysław Rygało. Ciągłe powtarzał, że nie ma żadnego dzieciaka w okolicy, do którego przynosiłby tyle listów. Oglądałem rozmaite znaczki, radzieckie, szwedzkie, amerykańskie... Tak rodziło się zamięłowanie do filatelistyki, które pozostało mi do dzisiaj. Znaczek naklejony na list to zwiaśtun wieści od dalekich przyjaciół, dalekich geograficznie, bo nie duchowo, znak i dowód ich pamięci i przyjaźni. Do dzisiaj jest mi do nich po prostu tęskno.

Jak długo utrzymywaliście tę korespondencję?

Trwało to jeszcze w szkole średniej, gdy mieszkałem w Warszawie. Potem, podczas pobytu w seminarium duchownym, niestety, nasze kontakty zostały przerwane. Przełożeni i koledzy uznali, że kandydatowi do kapłaństwa nie wypada pisać listów do dziewczyn, a kolega z Czelabińska i koleżanka z Czerkas mieli to nieszczęście, że mieszkali na terenie Związku Radzieckiego. W tych okolicznościach zaprzestałem wymiany listów, co do dzisiaj bardzo sobie wyrzucam. Prawdę mówiąc, nie do końca byłem posłuszny, bo listy z USA przychodziły nadal, lecz na adres domowy. Czasami mam poczucie, że tymi zakazami odebrano mi przyjaciół. To wtedy definitywnie skończyło się moje dzieciństwo.

W seminarium duchownym i poza nim

*Żeby kontynuować naukę, wyjechał
Ksiądz z Chrostowa do Warszawy.
Ile miał Ksiądz wtedy lat?*

Kiedy kończyłem szkołę podstawową, w czerwcu 1964 r., miałem trzynaście lat. To był bodaj ostatni rocznik, kiedy szkoła podstawowa obejmowała siedem klas, potem wprowadzono jeszcze ósmą. We wrześniu przyjechałem do Warszawy, żeby uczyć się w liceum ogólnokształcącym. Od tej pory byłem zdany na siebie, z dala od swoich rodziców i brata, co przeżywałem bardzo mocno.

*Pojechał Ksiądz tam kontynuować naukę z myślą już
o seminarium, w tej właśnie perspektywie?*

Wszystko, co robiłem, było podporządkowane temu, żeby zostać księdzem. To postanowienie istniało przed i ponad wszystkim. A ponieważ do osiągnięcia tego celu była potrzebna matura, to trzeba było maturę zrobić. Cztery lata liceum stanowiły etap, którego nie dało się ominąć. Zresztą lubiłem się uczyć.

Ale dlaczego aż w Warszawie?

Dla mnie samego to też dziwne, że nigdy nie myślałem o pobieraniu nauki w Ostrołęce. Wyjazd do Warszawy nie był przypadkiem. Wśród czasopism, które prenumerowali rodzice, była „Zorza Świąteczna”. W niej, lub może w „Słowie Powszechnym”, znalazłem ogłoszenie o męskim Liceum Ogólnokształcącym pw. Św. Augustyna. Wiedziałem o nim na długo przed ukończeniem podstawówki. Liceum było prowadzone przez Stowarzyszenie Pax, o którego genezie nikt w moim otoczeniu nie miał pojęcia ani się nią nie zajmował. Wydawane czasopisma i książki czytaliśmy jako katolickie, dowiadując się bardzo wiele o Kościele. Aby się dostać do szkoły, trzeba było zdać egzamin. Wcześniej byłem w Warszawie dwa razy – w obydwu przypadkach z wycieczką szkolną. Najbardziej utkwiło mi w pamięci ZOO, Stare Miasto i Pałac Kultury.

Gdy z początkiem września rozpocząłem naukę w szkole średniej, nastały trudne tygodnie w moim życiu. Przez pierwsze dni nie bardzo wiedziałem, czym się różni tramwaj od trolejbusu, a wstydziłem się zapytać. Także wiele innych rzeczy było dla mnie zupełnie nowych. Narastały i dawały o sobie boleśnie znać dylematy dzieciaka, który został rzucony do miasta, a zarazem zdawał sobie sprawę, że nie ma innej alternatywy. Pewne uspokojenie przynosił mi fakt, że naprzeciw szkoły, po drugiej stronie Alei Niepodległości, w bliskim sąsiedztwie siedziby Polskiego Radia, były wtedy pola, na których rosły warzywa. Wkrótce się to zmieniło, ale sam początek zamieszkiwania w Warszawie kojarzy mi się z marchwią.

Pamięta Książd egzaminy wstępne?

Pierwszą osobą, którą pamiętam ze spotkania na egzaminach do liceum, była Maria Kobierzycka, która pracowała w bibliotece na trzecim piętrze szkoły. Bardzo się bałem egzaminu z matematyki, bo ta zawsze sprawiała mi ogromne trudności. Zupełnie nie wiem, czy i jak go zdałem. Egzamin z polskiego miał za temat osiągnięcia Polski Ludowej w dwudziestolecie jej powstania. Tutaj popuściłem wodze wyobraźni i przypisałem Polsce Ludowej wszystkie możliwe osiągnięcia. Pani Kobierzycka skwitowała to krótko: „Dziecko, ty czytasz za dużo gazet”. Lecz zostałem przyjęty.

To trwało cztery lata, tak?

Cztery lata – i były to lata, które odmieniły moje życie. Oznaczały przyzwyczajenie się, oswojenie z dużym miastem, ze stolicą, oraz z tym wszystkim, czym Warszawa jest i co proponuje. Od tej pory Warszawa stała się moim miastem tak bardzo, że nie wyobrażam sobie życia gdzie indziej – a jeżeli już, to może w Chrostowie.

Miałem wielkie szczęście i trafiłem do naprawdę bardzo dobrego liceum. Nie ma już tej szkoły, bo w 2004r. została zamknięta – ogromna szkoda! Pod adresem Paxu padało wiele cierpkich słów. Mogę powiedzieć z największym przekonaniem, że nikt nigdy w tym liceum mnie nie indoktrynował, do niczego nie namawiał, nie uczył ideologicznych głupot. Przeciwnie, uczono mnie historii tak, jak chyba nigdzie wtedy w szkole nie uczono. Nauczyciel mówił to samo, co wiedziałem z domu o sprawcach Katynia, że byli nimi

Sowieci czy Rosjanie – tej różnicy długo nie rozumiałem i chyba do tej pory pozostaje sporna. Uczono szacunku do innych religii, na przykład do religii żydowskiej, a także języka łacińskiego, czego gdzie indziej także nie było. Na zakończenie klasy IX za dobrą naukę łaciny otrzymałem od swojego nauczyciela piękny album w języku rosyjskim, zatytułowany *Antyczna sztuka*, z dedykacją: „Na pamiątkę wspólnej pracy nad poznaniem piękna języka łacińskiego”. Wśród reprodukcji najśłynniejszych starożytnych dzieł rzeźbiarskich moją uwagę zwróciła kolumna Trajana i kolumna Marka Aureliusza w Rzymie. Obie mogłem później wielokrotnie podziwiać, podobnie jak Łuk Tytusa, który w tym albumie zobaczyłem po raz pierwszy. Biologia, chemia, astronomia, fizyka – to wszystko było na bardzo wysokim poziomie, lecz mnie mniej interesowało.

Najwięcej jednak zawdzięczam swojemu poloniście i lekcjom języka polskiego. Profesor Jan Górski potrafił wspólnie ukazywać piękno polszczyzny, zapalać do niej i pomagał rozwijać zamiłowania, które istniały we mnie wcześniej. Dzięki jego zachętom do systematycznej pracy znalazłem się nawet w finale olimpiady polonistycznej. Jeszcze bardziej przydała mi się jego wyrozumiałość jako wychowawcy. To szlachetny i dobry człowiek, któremu naprawdę bardzo wiele zawdzięczam.

Nie miał Ksiądz z niczym kłopotów?

Miałem ogromne kłopoty z matematyką. Mój nauczyciel, prof. Józef Grzegorzczak, sądził, że nie chcę się jej uczyć i w związku z tym, na koniec roku w ósmej klasie – to odpowiednik

obecnej trzeciej klasy gimnazjum – po prostu mi tej matematyki nie zaliczył. Nie zdałem przede wszystkim dlatego, że miał mnie za lenia. Tymczasem ja matematyki nie lubiłem, panicznie się jej bałem, a było tak dlatego, że w szkole podstawowej właściwie mnie jej nie uczono i czułem się zupełnie bezsilny. W pierwsze wakacje w liceum musiałem odrobić 500 zadań poprawkowych. Starałem się wybierać najłatwiejsze z podręcznika, ale potem już takich najłatwiejszych nie było, więc rozwiązywałem je po kolei. Zapiisałem cały gruby zeszyt. Profesor, traktując to jako pewne świadectwo pracowitości, po długich perswazjach uznał ten wysiłek i przepuścił mnie do następnej klasy. Nie bez znaczenia była rozmowa z moim ojcem, który wstawiał się za mną. Jednak do samego końca liceum miałem z matematyką kłopoty i do dziś samo jej wspomnienie wywołuje we mnie dreszcze.

Kiedy przyszła matura, prof. Grzegorzczak zapewniał, że mnie przypilnuje, abym nie ściągał, bo przez cztery lata musiał tolerować moje nieuctwo. I rzeczywiście, nie miałem żadnych szans na ściąganie od kolegów. Lecz stał się cud: napisałem zadania tak, że dostałem słabą czwórkę. Mój nauczyciel pewnie wyrzucał sobie, że mnie nie upilnował i że go przechrzyłem. Ale ja naprawdę nie ściągałem.

Czy przyznawał się Książd wtedy, że zamierza iść do seminarium?

To nie była kwestia „przyznawania się”, bo nie uważałem swoich planów za wstydlive ani naganne. W pierwszych latach liceum raczej nikt mnie o tak odległą przyszłość nie pytał, może z wyjątkiem o. Roberta Madejskiego, który był moim katechetą i któremu dość wcześnie o tym powiedziałem. Mimo

to wiedzieli o moich planach niektórzy nauczyciele, także prof. Grzegorzcyk, który kwitował je uśmiechem.

Dopiero pod koniec szkoły, przed maturą, zapytany, dokąd idę na studia, bo wszyscy coś deklarowali, odpowiadałem wszystkim, także kolegom, że wybieram się do seminarium. Wywołało to niemałe zdziwienie. O planach pójścia do seminarium wiedzieli jednak niemal od początku państwo Anna i Jan Górszy, moi wspaniali wychowawcy i nauczyciele. Ich cierpliwości i wyrozumiałości zawdzięczam w dużej mierze to, że się spełniły. W klasie maturalnej ojciec Madejski zachęcał, żebym swoją decyzję poważnie przemyślał, żebym się zastanowił itd. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem, że coś, co dla mnie jest oczywiste, dla innych wcale takie oczywiste nie jest.

*A zatem w 1968 r. rozpoczął się pobyt w seminarium duchownym.
Z tym że absolwent liceum w Warszawie wybiera seminarium
w Łomży, a nie w Warszawie. Dlaczego?*

Wydawało mi się, że skoro moje korzenie są między Ostrołką a Łomżą, zatem i moje dalsze życie powinno być tam umiejscowione. Po czterech latach zamieszkiwania w Warszawie nie miałem tutaj żadnych znajomych księży, z wyjątkiem swojego katechety. Na miejscu w szkole była kaplica, gdzie mogłem się modlić, a więc warszawskich świątyń też nie znałem. Nie miałem pojęcia, gdzie znajduje się seminarium duchowne, ani go nie szukałem, podczas gdy w Łomży je widziałem. Podczas swoich wyjazdów jako dziecko patrząc na ten gmach, myślałem, że któregoś dnia tu przyjadę. Wydawało mi się więc, że wracam do środowiska, które znam, które jest moje.

Jakie były pierwsze wrażenia z pobytu w seminarium? Czy nastąpiło jakieś spełnienie, czy może – odwrotnie – rozczarowanie? Bo do tej pory unikał Ksiądz towarzystwa klerykalnego, a tu nagle się znalazł w samym jego środku.

Ogromne wrażenie zrobiły na mnie pierwsze rekolekcje, które odbywają się we wrześniu, na rozpoczęcie roku. Są to rekolekcje zamknięte. Trwają kilka dni, a ja byłem jednego pewien – jeżeli istnieje coś, czego szukam, to właśnie to osiągnąłem. Atmosfera tych rekolekcji, ciszy, rozważań, modlitwy bardzo mi odpowiadała. Czułem, że bardzo do niej przystaję, że jest to coś, czego potrzebuję, że droga, którą idę, jest dobra. Z drugiej strony życie w seminarium nakładało ograniczenia, które mi uwierały. Od początku traktowałem seminarium jako zło konieczne, bo moim celem nie był pobyt w nim, lecz kapłaństwo. Gdyby to było możliwe, przyjąłbym święcenia natychmiast i bez wahania. Najbardziej ulubionym miejscem była dla mnie kaplica, a w niej modlitewnik oprawiony w czarne twarde okładki, którego treść dobrze wyrażała moje nastroje i potrzeby duchowe. Reszty dopełniała biblioteka i ogród, z których emanował wielki spokój.

Okazało się jednak, że właśnie ten etap seminaryjny był w moim życiu najtrudniejszy. To, co powinno sprzyjać rozwojowi i pogłębianiu powołania, nie zawsze mu sprzyjało. Tak więc, o ile w szkole podstawowej i średniej pragnienie kapłaństwa wydawało mi się coraz bliższe spełnienia, o tyle potem, w seminarium duchownym, sprawy nie zawsze były tak proste ani oczywiste. A działo się tak mimo tego, że pragnąłem kapłaństwa coraz bardziej i z coraz większą pewnością, że w każdej innej sytuacji życiowej byłbym nieszczęśliwy.

A co było najtrudniejsze, że tak oddalało tę perspektywę?

Muszę tu być bardzo ostrożny i wyważony w sądach, bo opisuję rzeczywistość tak, jak ją widzę i jak ją przeżywałem, natomiast te same sprawy oglądane oczami innych, zwłaszcza przełożonych i wychowawców. mogły wyglądać inaczej. Z mojej strony było tak, że aczkolwiek regulamin seminaryjny nie nastroczał mi żadnego kłopotu – ranne wstawanie, modlitwy, wykłady, cisza, ścisły harmonogram zajęć – jednak potrzebowałem pewnego, chyba należącego każdej osobie, poczucia wolności. Chcę być dobrze zrozumiany – nie swobody, lecz wolności. Regulamin ją dopuszczał, lecz niektórzy z troszczących się o jego przestrzeganie chyba tego nie uznawali. Pierwszą bolesną sprawą, nie z powodu jakichś tajemnic, ale z powodu buntu, który to we mnie wywoływało, było kontrolowanie korespondencji. Dla mnie listy z Czerkas, Czelabińska czy Nörsjo były bardzo ważne i nie wyobrażałem sobie, by ktoś je otwierał. Listy z USA przychodziły na adres domowy, bo korespondencja z Ameryką w ogóle nie była w tych czasach mile widziana. Kiedy wspominam okres pobytu w seminarium duchownym, myślę, że po raz pierwszy i to dość boleśnie zetknąłem się z traktowaniem Kościoła jako organizacji, która potrzebuje sprawnych i posłusznych funkcjonariuszy.

Właśnie wtedy Księdzu zabroniono tej korespondencji?

Nie odbyło się to bezpośrednio w formie surowego zakazu, lecz w sposób zawoalowany, co dawało jeszcze więcej do myślenia. Odczuwałem to bardzo boleśnie, i to nie dlatego, że nie byłem gotów ponieść takiej ofiary, ale ponieważ nie widziałem jej sensu. Penetracja w sfery życia osobistego bywała czasami

jeszcze głębsza. Zdarzało się, że była bardzo potrzebna i pomocna, kiedy indziej stawiała się obcesowa, stereotypowa, a nawet krzywdząca. Żeby być dobrze postrzeganym i ocenianym, należało równać do średniej, a już w żadnym wypadku się nie wyróżniać. W przeciwnym razie baczna czujność przełożonych była wspomagana przez dociekliwość i wścibstwo niektórych kolegów. Tak więc seminarium wspominam jako miejsce, gdzie realizowanie powołania do kapłaństwa może napotykać nie-małe trudności.

Można odnieść takie wrażenie, że Ksiądz się po prostu po raz pierwszy na własnej skórze zetknął z, nazwijmy to szczerze, negatywnymi przejawami klerykalizmu, co niejeden ze świeckich do dziś może też dość boleśnie odczuć.

Jestem przekonany, że wiele z takich wad to nie przejawy klerykalizmu, lecz odzwierciedlenie określonych cech charakteru, jakie spotykamy w każdym stanie i wszędzie. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że ludzie, o których opowiadam, mieli dobre intencje, chcieli wychować i przygotować dobrych kapłanów. A przecież i ja musiałem dorastać, dojrzewać, pogłębiać się i zmieniać. Na pewno nie było tak, że główny problem stanowili wychowawcy, chociaż niektóre ich posunięcia bywały niezrozumiałe czy trudne. Miałem dobry kontakt z księdzem rektorem, wicerektorem i wieloma profesorami. Pamiętam ich i bardzo cenię.

Problemy pojawiały się w relacjach z niektórymi kolegami, ponieważ mój sposób widzenia i przeżywania różnych spraw był odmienny. Może kilkuletni pobyt w Warszawie sprawił, że mieliśmy za sobą inne doświadczenia i dlatego inną wrażliwość?

W szkole średniej mieszkałem w internacie, wspólnie z innymi chłopcami, ale całkowicie obce, nieznane nam było coś, czym zresztą do dzisiaj się brzydzę, a mianowicie szkodliwe plotki czy donosy. Większość moich kolegów seminaryjnych wcześniej znała się między sobą, czy to ze szkół w pobliskich powiatowych miastach, czy to z parafii. Koledzy z mojego rocznika znali się i przyjaźnili z kolegami ze starszych lat, a także z wieloma księżmi. Nie miałem żadnych znajomych ani rozeznanie o diecezji łomżyńskiej, wszystkiego uczyłem się od początku, a także w trakcie rozmaitych wykładów i wyjazdów, na przykład jesienią po ziemniaki, owoce i warzywa dla seminarium. Dla mnie był to więc ciągle obcy świat i wchodzenie w niego nie było łatwe. Czasami atmosfera stawiała się naprawdę trudna – tak przynajmniej to odbierałem. Potem pojawiły się nowe kłopoty.

Długo Ksiądz przebywał w tej atmosferze?

Kilka miesięcy, bo przecież nie od samego początku tak było. Po pierwszych wakacjach, które przeżyłem w domu i w rodzinnej parafii, gdzie wielką serdecznością otoczył mnie młody proboszcz ks. Zdzisław Mikołajczyk, nastąpił zaskakujący dla mnie i gwałtowny zwrot wydarzeń. Na początku drugiego roku studiów, 13 listopada, w święto św. Stanisława Kostki, odbyły się tzw. obłóczyny, czyli ceremonia przywdziania sutanny. Bardzo się do niej przygotowywałem. Ale gdy już otrzymałem prawo noszenia sutanny, dosłownie nazajutrz wieczorem, rektor, późniejszy biskup łomżyński, ks. Mikołaj Sasinowski, wezwał mnie i powiedział, że widzi moje miejsce gdzie indziej i radzi, abym rozejrzał się za czymś innym.

Za innym seminarium czy za innym zawodem?

Nad tym się nie zastanawiałem, bo było dla mnie jasne, że za innym seminarium. Mimo wszystko było to kompletne zaskoczenie. W okamgnieniu robiłem rachunek sumienia ze wszystkiego, czego się dopuściłem, oraz czego zaniedbałem. Chociaż słowa rektora były jak miecz, ścinały z nóg, nie próbowałem dyskutować. Widziałem, że sprawa została rozstrzygnięta.

I doszedł Ksiądz do czegoś?

Powodem była znajomość z dziewczyną, ale co do szczegółów nigdy nie uzyskałem żadnej wiedzy. Rektor doszedł do wniosku, że moje studia seminaryjne należy przerwać. Zarazem zasugerował, że jeżeli rzeczywiście czuję powołanie do kapłaństwa, powinienem się starać o przyjęcie do innego seminarium. „Łomża jest mała” – dodał z rozbrajającym uśmiechem. W młodości był wojskowym, a jego uśmiech był naprawdę szczery.

Wygląda na to, że to głównie koledzy budowali tę „gęstą” atmosferę panującą w seminarium, a nie przełożeni. Mnie się jednak wydaje, że przełożeni też mieli tu swój wkład. Bo gdyby nie tolerowali donosicielstwa, to by go nie było.

Poza tym, te ciągle oskarżanie o kontakty ze światem zewnętrznym, nieufność wobec wszelkich relacji kleryka z innymi osobami, a już, nie daj Boże, płci pięknej. Czy nie uważa Ksiądz, że to właśnie ta seminaryjna „duchota” stoi u podstaw obecnego, niestety, nadal w Kościele klerykalizmu, czyli postrzegania księży jako jakiejś dziwnej

kasty, którą od wiernych i od zwykłego życia oddziela jakaś nieprzepuszczalna bariera?

Sądzę, że tak silne przeciwstawianie sobie duchownych i wiernych jest dużym i krzywdzącym dla obu stron uproszczeniem. Na pewno wiele zależy od przełożonych. Można i trzeba postulować ulepszanie i oczyszczanie rozmaitych aspektów przygotowania młodych ludzi do kapłaństwa, ale odpowiedzialność przełożonych jest przecież ogromna. Później wiele razy zastanawiałem się, czy ja w podobnych okolicznościach postępowałbym inaczej i często wcale nie byłem tego pewny. Jedno z niebezpieczeństw polega na tym, że część moderatorów seminarijnych chce mieć dobrych kleryków i stara się to osiągnąć za wszelką cenę. Tymczasem dobry kleryk wcale nie musi być dobrym księdzem. I na odwrót: znam wiele osób, które musiały opuścić mury seminarium duchownego, a w nowych warunkach dojrzały do kapłaństwa, przyjęły je i są to kapłani, wśród nich także biskupi, wielce dla Kościoła zasłużeni. Opowiadam, co przeżywałem, lecz nie staram się tego oceniać ani tym bardziej oceniać ludzi, z którymi wtedy los mnie złączył. Im więcej czasu upływa, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że większość z nich to były osoby bardzo szlachetne. Ich model przygotowania do kapłaństwa i urzeczywistniania go odbiegał od tego, jaki miałem ja, ale to naturalne, a poza tym mój wcale nie musiał być lepszy, godniejszy polecenia czy nawet tolerowania. Oczywiście czasami zadaję sobie pytanie: Dlaczego przełożeni akceptowali jakieś donosy? Ale wówczas mi to tak mocno nie doskwierało. Coraz wyraźniej widziałem, że jeżeli chcę przynależeć do tego świata, muszę się dostosować do reguł, jakie w nim panują. Mimo to pewne rzeczy

wykluczałem zupełnie, a zgoda na niektóre inne przychodziła mi bardzo ciężko.

*Najwyraźniej, skoro powiedziano Księdzu już
w dzień po obłóczynach „adieu”...*

Miałem na sobie nowiutką sutannę, a rektor oddał mi papierę i życzył wszystkiego, co dobre. Był w tych życzeniach bardzo serdeczny, co dodało mi odwagi i otuchy. Zachowuję wobec niego wielki szacunek i uważam, że ze swojego punktu widzenia miał rację. Jednak ta racja niekoniecznie musi się pokrywać z moją. Mój ówczesny stosunek do dziewcząt mogę określić jako fascynację i ciekawość. Wychowałem się z bratem, a potem w internacie dla chłopców. Do czasu pójścia do seminarium moje kontakty z rówieśniczkami były sporadyczne. Najsilniej przeżywałem te, które łączyły się z korespondencją. W gruncie rzeczy nie miałem żadnej koleżanki ani przyjaciółki. Wstępując do seminarium miałem siedemnaście i pół roku. Każde spotkanie i rozmowa z dziewczyną były dla mnie ogromną przygodą. Zarazem każda taka okazja utwierdzała mnie, że nie mogę pójść drogą inną niż ta, na której się znajduję.

*Jak Ksiądz przeżył tę porażkę? Załamał się? Uznał,
że wszystko, co dotąd robił, nie miało sensu?*

Bynajmniej! Przerwanie łomżyńskiej przygody, choć bardzo dotkliwe, nie stanowiło dla mnie tragedii. Nie wiązałem tego, co się stało, z całkowitym uniemożliwieniem mi dojścia do kapłaństwa. Nie zachwiało się moje postanowienie, czy mam być księdzem, natomiast aktualne stało się pytanie, kiedy to

nastąpi. Ksiądz rektor Sasinowski, żegnając mnie, dał do zrozumienia, że jeżeli kapłaństwo to rzeczywiście moja droga, nikt mi w niej nie przeszkodzi. Niezwłocznie udałem się więc do Warszawy, aby dostać się do tamtejszego seminarium duchownego. Dopiero teraz dowiedziałem się, gdzie się ono mieści – przy Krakowskim Przedmieściu. Rektor, ks. Zbigniew Kraszewski, późniejszy biskup pomocniczy warszawski, odniósł się do mnie z nieukrywaną ciekawością, lecz serdecznie. Po rozmowie stwierdził, że teraz w ciągu roku (a było to ponad dwa miesiące po rozpoczęciu zajęć) choćby i chciał nie może mnie przyjąć, więc proponuje, żebym spokojnie czekał i ewentualnie do niego wrócił.

Jak Ksiądz wypełnił ten czas, wrócił do Chrostowa?

Mówiąc prawdę, pierwszych dni zupełnie nie pamiętam. Na pewno były bardzo trudne. Pod koniec listopada wróciłem do Warszawy i postanowiłem zapisać się na studia w Akademii Teologii Katolickiej. Nie wiem skąd się wziął się ten pomysł, ani jak to się stało, że w środku pierwszego semestru zostałem przyjęty.

Boże Narodzenie przeżyłem w domu rodzinnym, odczuwając wielką życzliwość ks. Zdzisława Mikołajczyka. W Nowy Rok zamieszkałem w Kobyłce pod Warszawą, u naszych dawnych sąsiadów i stamtąd rozpocząłem dojazdy na ATK, na Wydział Teologiczny. Czułem się bardzo zagubiony. Wiele pociechy sprawił mi ojciec, który już na trzeci dzień przyjechał mnie odwiedzić i przywiózł ze sobą list, który przyszedł z Youngsville. Dziadek Barbary, dowiedziawszy się o zmianie, jaka zaszła w moim życiu, zapraszał do Ameryki. Byłem niemal przerażony.

Pewne uspokojenie przyniósł udział w nabożeństwie do Matki Bożej Nieustającej Pomocy w miejscowym kościele. Po kilku dniach byłem pewien, że uczelnia nie jest miejscem dla mnie. Jasno zrozumiałem, że nie interesują mnie studia jako takie, bo interesuje mnie wyłącznie droga do kapłaństwa. W poniedziałek, 12 stycznia 1970, zabrałem z ATK swoje papiery.

Przerwał Ksiądz studia?

Tak, bez żadnego wahania. Nazajutrz udałem się do ks. Kraszewskiego i znowu poprosiłem, żeby mnie przyjął do seminarium, bo nie chcę robić nic innego. Miał już dobre rozeznanie o moim pobycie w Łomży, a także rozmawiał z ks. Mikołajczykiem, który się za mną wstawił. Potwierdził, że teraz przyjmując mnie nie może, ale zaznaczył, że nadarza się pewna okazja: może mnie wysłać na wieś koło Kutna, do parafii Łęki Kościelne, na praktykę duszpasterską, bo tak się akurat złożyło, że tamtejszy proboszcz ma bardzo dużo lekcji religii i pilnie potrzebuje kogoś, kto się ich podejmie. Byłbym tam do czerwca, przyjdą wakacje, a po wakacjach, jeżeli opinia proboszcza będzie dobra, zostanę przyjęty do seminarium. Zgodziłem się natychmiast. Poleciał mi zostawić adres i czekać na odpowiedź. Tydzień później była gotowa. Rektor zapytał: „Dostałeś sutannę?” „Tak” – odpowiedziałem. „A ile w niej chodziłeś?” „Półtora dnia”. „Masz ją nadal?” „Mam”. „No to założysz i pojedziesz na parafię”. Dał mi pieniądze na podróż (dobrze, że o tym pomyślał!) i zalecił kilka dni odpoczynku.

Wróciłem do Kobyłki, stamtąd do domu, cały majątek zmieściłem w walizce. W poniedziałek, 26 stycznia, pojechałem pociągiem do Kutna, gdzie udałem się na krótką wizytę

do dziekana Jana Śwйтkowskiego. Przyjął mnie służbowo, ale wielkim pożytkiem był poczęstunek. Ostatnim autobusem pojechałem do Łęк Kościelnych, aby wieczorem stawić się na plebaniі.

To był środek zimy.

Zastąłem rodziców proboszcza. Spodziewali się mnie i poczęstowali kolacją. Pies, stary już i trochę kulawy, który jako pies podwórkowy miał spać na dworze, szybko mnie z wzajemnością pozyskał. Nie było jeszcze późno, ale czułem się zmęczony i coraz bardziej załamany. Pies ukradkiem poszedł za mną do pokoju na piętrze, który miał być moim mieszkaniem. Został tam i spaliśmy razem, on blisko przy łóżku. Wyglądało na to, że na mnie czekał i stał się moim prawdziwym przyjacielem. Nazwałem go Reksio i tak zostało. Gdy rano wstałem i chciałem nabrać atramentu do pióra okazało się, że atrament w kałamarzu zamarzł. Wyciągnąłem wniosek, że na zewnątrz jest zimno.

W dzień poznałem proboszcza, ks. Stanisława Konarzewskiego. Odniósł się do mnie z życzliwością, dziwiąc się jedynie, że jestem taki młody. „Ale to jeszcze nie grzech” – dodał porozumiewawczo. Trzy kolejne dni pozostawałem w domu, biorąc udział we mszy świętej, trochę czytając i poznając kilkoro miejscowych ludzi.

W piątek, 30 stycznia, przyjechał starszy mężczyzna, który zawiózł mnie saniami na punkt katechetyczny w Micinie, kilka kilometrów od Łęк. Usiadłem obok niego, owinał nasze nogi kocem i zaczął się do mnie zwracać „księżę kanoniku”. Protestowałem, że nie jestem kanonikiem, ani nawet księdzem, na

co on: „Jak ksiądz nie jest księdzem, to dlaczego chodzi w su-tannie?” Moje protesty złagodniały. Co do „kanonika”, rychło okazało się, że najlepszy ksiądz, jakiego on znał i poważał, był kanonikiem i mój rozmówca życzył sobie, żebym ja nie był gorszy. Tak więc nadspodziewanie szybko zrobiłem karierę w hierarchii. Za dwa dni kończyłem dziewiętnaście lat i jako „ksiądz kanonik” jechałem na katechizację dzieci w wiejskiej szkole. Na kościelne uznanie tej nominacji musiałem czekać trzydzieści cztery lata. Ale było warto!

Jak wyglądała wtedy praca katechety na wsi?

Miałem dużo zajęć, od poniedziałku do soboty codziennie, z wyjątkiem czwartku, po osiem godzin, a w sobotę cztery, czasami mniej, gdy poszczególne klasy były łączone razem. Nie miałem katechizacji na miejscu, bo w Łękach nie było szkoły. Wożono mnie, a potem sam jeździłem do bardziej i mniej oddalonych miejscowości. Pamiętam kolejność i nazwy: Krzyżanów w poniedziałek, Siemienice we wtorek, Szewce w środę, Micin w piątek, Wyręby w sobotę, łącznie trzydzieści sześć godzin. Zajęcia odbywały się w jakimś wydzielonym pokoju w jednym z wiejskich domów albo w zaadaptowanym pomieszczeniu budynku gospodarczego, obok stajni lub obory.

W pierwszych tygodniach nie prowadziłem katechezy w pełnym wymiarze, ponieważ była surowa zima – ostre mrozy i duże śniegi. Dzieci przychodziły ze szkoły na lekcję religii i, przez pierwszy kwadrans rozbierały się z zimowej odzieży, następowało sprawdzanie listy i pytania, czy były na niedzielnej mszy świętej, a potem kwadrans się ubierały.

Kiedy przyszła wiosna, było już zupełnie inaczej, poznałem je i bardzo polubiłem. Robiliśmy też lekcje w plenerze i dużo rozmawialiśmy. Żadnej bezpośredniej współpracy z nauczycielami nie było, ale okazywali wyrozumiałość i życzliwość. Dzieci były wspaniałe! Do dzisiaj pamiętam imiona i twarze wielu z nich.

*Mam wrażenie, że z nostalgią wspomina Ksiądz
tę wiejsko-katechetyczną przygodę.*

To był jeden z najpiękniejszych okresów w moim życiu, właśnie tam, w Łękach, z dziećmi. Bardzo się do nich przywiązałem i nie mam wątpliwości, że one to odwzajemniały. Poza tym szybko wydorostałem. Proszę sobie wyobrazić: młody chłopak, pierwszy tydzień w sutannie, a dla dzieci autorytet, ich nauczyciel. Zdarzało się, że uczyłem niemal rówieśników, bo niektórzy chłopcy i dziewczęta w ósmej klasie mieli po szesnaście-siedemnaście lat, a ja – tylko dwa czy trzy lata od nich starszy. Ta katecheza miała swój specyficzny koloryt, jakiego nigdy potem nie doświadczyłem.

Co się tyczy pierwszego dnia katechizacji chyba powinienem jeszcze coś dodać. Gdy lekcje religii się skończyły, gospodyni poczęstowała jajecznicą z co najmniej pięciu jaj, „na drogę, bo młody i powinien dużo jeść”. Zaraz potem wracaliśmy z tym samym gospodarzem saniami do domu. Padał gęsty śnieg. Gospodarz wyjął z kieszeni kożucha butelkę i dwie musztardówki. Nigdy przedtem nie miałem alkoholu w ustach, ale teraz uzasadnieniem miało być srogie zimno. Konie znały drogę, a rozmowa znacznie się ożywiła. Gdy dotarliśmy na plebanię, wszystko wydawało mi się

o wiele łatwiejsze, tylko z nogami miałem trudności. Wieczorem w pokoju było mi na przemian gorąco i bardzo zimno. Obok położył się pies i usnąłem. Nazajutrz proboszcz uznał tę przygodę za ryzykowny wstęp do moich urodzin.

Wtedy też Ksiądz zaczął prowadzić notatnik.

Tak, dlatego tak wiele rzeczy mogę odtworzyć z precyzyjną dokładnością. Stało się to kilka tygodni wcześniej, na początku stycznia podczas rozpoczęcia studiów. Wracając do Kobyłki, kupiłem los i wygrałem „trójkę”. Po odebraniu wygranej kupiłem *Kalendarzyk terminowy*, w którym codziennie zapisywałem swoje zajęcia. Z czasem weszło mi to w krew i sprzyjało planowaniu i podejmowaniu decyzji. To z kolei w jakiś sposób kształtowało moje powołanie. Doskonale pamiętam pierwszą niedzielę w Łękach, w dzień urodzin, gdy w małym miejscowym kościele wystąpiłem jako „nowy ksiądz”. Wprawdzie proboszcz wyjaśniał zebrany moją rolę, ale chyba nie było to dla nich najważniejsze. Tym bardziej że wkrótce powierzył mi głoszenie niektórych kazań.

Już wtedy?

Tak, a potem prowadzenie części nabożeństw, na przykład majowych. Byłem więc postrzegany jako ksiądz, tym bardziej że zbierałem tace. Wkrótce nawiązałem kontakty z okolicznymi księżmi, którzy byli bardzo życzliwi i okazywali mi dużo serdeczności. Dzięki nim odczułem uroki życia kapłańskiego na wsi. Podobał mi się cały ten rytm, także liturgiczny – okres karnawału, Wielkiego Postu, Wielkiego Tygodnia, zwy-

cznie związane z Wielkanocą, potem maj – ubieranie krzyży i figur przydrożnych. Znałem to wszystko z dzieciństwa, ale nigdy tak żywo w tym nie uczestniczyłem. Teraz było inaczej. 28 maja przypadało święto Bożego Ciała. Przygotowane przez mnie dzieci miały Pierwszą Komunię Świętą. Proboszcz przypomniał: „Po Bożym Ciele nie trzeba księdza w kościele” i w połowie czerwca kończyłem katechizację. We wtorek, 16 czerwca, po cieplej i życzliwej rozmowie z proboszczem i jego rodzicami, z wielkim żalem opuszczałem Łęki. Bardzo się przywiązałem do tych ludzi, do dzieci, do małego drewnianego kościoła pod wezwaniem św. Marii Magdaleny, i do psa, który wiernie mi towarzyszył.

Nasuwa mi się takie porównanie, że Księdzu w jakimś stopniu dane było przeżyć ten rodzaj formacji kapłańskiej, jaki panował w pierwotnym chrześcijaństwie, a potem prawie do końca średniowiecza. Wtedy kandydat do święceń przygotowywał się do nich, pracując na parafii u boku innych księży i był przez nich wdrażany bezpośrednio i w praktyce w ten rodzaj posługi. Miało to swoje wady i zalety, ale jedno na pewno było tu dobre – kleryk nie był przez pięć lat trzymany pod kloszem w izolacji od uroków i znoju prawdziwego życia kapłańskiego, daleko od wiernych i ich problemów.

Pierwsze tygodnie pobytu w seminarium duchownym we wrześniu 1970r., z wyjątkiem rekolekcji, to była prawdziwa męka. Traktowano nas wszystkich jednakowo, jakbyśmy musieli się utwierdzać w powołaniu i uczyć wszystkiego od początku. Tymczasem miałem za sobą bogate doświadczenia, które jakby przekakiwały to wszystko. Wiedziałem, co to znaczy

być księdzem, doświadczyłem smaku realizacji tego powołania i upewniłem się jeszcze bardziej w tym, że to jedyna moja droga. Wtedy wiedziałem jeszcze jedno, a mianowicie, że muszę jak najwięcej się uczyć. Pod tym względem pobyt w Łękach był bardzo wzbogacający.

Jak to było możliwe, na wsi?

Zaraz po przyjeździe do parafii zdałem sobie sprawę, że aby przetrwać, muszę postawić sobie konkretne zadania. A ponieważ nikt nie układał mi regulaminu, musiałem sam go sobie ułożyć. Bardzo troszczyłem się o regularne życie sakramentalne, którego trzon stanowił Sakrament Pokuty i Eucharystia. Postanowiłem, że obok lekcji religii w moim codziennym życiu zawsze będzie systematyczna modlitwa i lektura książek religijnych. Część z nich pochodziła z biblioteczki proboszcza, inne przywoziłem z Warszawy. Oto wybrane tytuły, które w Łękach przeczytałem: *Dlaczego i jak wierzę*, *Dlaczego wierzymy* (obficie korzystałem w nich w starszych klasach na katechizacji), *Środowisko Boże*, *Struktura osobowości*, *Chrześcijańska koncepcja człowieka*, *Kościół w obliczu reformy*, *Religia a życie* i inne. Wielki noc 1970r. spędziłem w domu rodzinnym, a zaraz po świętach wróciłem do „swoich” dzieci.

Wtedy też zrodziło się nowe postanowienie, które przyszło mi na myśl w kontekście potrzeb katechizacji. Podróżując przez Warszawę, nabyłem „Biblię Tysiąclecia”. Postanowiłem ją czytać codziennie, po jednym rozdziale. Rozpocząłem tę systematyczną lekturę we wtorek, 7 kwietnia, od Księgi Rodzaju i w przystępie entuzjazmu początkowo czytałem więcej niż jeden rozdział. Wyjeżdżając z Łek, kończyłem Księgę Wyjścia...

Kontynuował to Ksiądz także w najbliższe wakacje?

W wakacje i stale potem. Także w seminarium warszawskim, do którego przybyłem w poniedziałek 14 września, czytając przypadający na ten dzień pierwszy rozdział Księgi Jozuego. W seminarium musiałem czytać i uczyć się, bo nie wiedziałbym, co zrobić z wolnym czasem. A było go, wbrew pozorom, sporo.

Więcej niż w Łomży?

Seminarium warszawskie tym różniło się od łomżyńskiego, że liczyło około trzystu kleryków, podczas gdy w Łomży trzy razy mniej. Tutaj poszczególny człowiek jakby umykał wnikliwej uwadze. Poza tym atmosfera była inna – w moim odbiorze bardziej otwarta. Również warunki były inne, no i oczywiście kontekst seminaryjnego życia. Zostałem przyjęty na drugi rok. Wykłady wydawały mi się łatwe. Zainteresowała mnie fotografia i zająłem się wywoływaniem zdjęć. Było to jedno z zainteresowań, które wtedy mnie bardzo pociągały. W niewielkim pokoju na poddaszu urządziliśmy tzw. ciemnię, a w następnym roku otrzymałem przy niej pokój. Mieszkałem początkowo z kolegą, a później długi czas sam. Mój pokój stał się miejscem towarzyskich spotkań, koledzy przychodzili na herbatę i porozmawiać, z drugiej strony pewne odosobnienie sprzyjało temu, że mogłem większą uwagę skupić na nauce. Przede wszystkim nadal regularnie czytałem Pismo Święte.

Rozpocząłem indywidualną naukę języków obcych, angielskiego i niemieckiego, ucząc się ich z zakupionych podręczników

(*Present Day English for Foreign Students*) i kaset magnetofonowych. Ponieważ pomocy do nauki niemieckiego było mniej, zabrałem się za samodzielną lekturę książki *Anfänge des Christentums*, traktując ją nie tyle jako źródło wiedzy o początkach chrześcijaństwa, ile jako sposobność do kontaktu z niemieckim. Miałem też jeszcze jedno zajęcie. Nauczyłem się szybkiego pisania na maszynie, robiłem skrypty z notatek sporządzanych podczas wykładów. Ponieważ zapotrzebowanie było duże, używałem kilku kalek, nieraz pięciu, sześciu, do granic czytelności i aż bolały palce. Rozdawałem te kopie kolegom, mieli z tego gotowe skrypty i mogli łatwiej podchodzić do egzaminów. Takich skryptów zrobiłem kilkanaście, poczynając od psychologii, antropologii, aż po skrypty z biblistyki. Tak więc miałem co robić.

*No tak, ale czy oprócz rozwoju zainteresowań związanych z nauką
pobył w tym nowym seminarium przyczynił się do rozwoju
powołania Księdza?*

Wielkim przeżyciem były znowu rekolekcje na rozpoczęcie roku, od 16 do 19 września. Zapiisałem sobie trzy postanowienia: 1. „Codziennie rano wzbudzać intencję ofiarowania wszystkiego Bogu”, 2. „W chwilach pokus, trudności i niebezpieczeństw wspominać na rany Chrystusa i Jego Mękę”, 3. „Starannie przygotowywać się do Komunii św. i odprawiać dziękczynienie, prosząc o łaskę wytrwania w dobrym i powołaniu kapłańskim”. Usposobił mnie do tego rekolekcjonista.

Z wielkim pożytkiem duchowym słuchałem cotygodniowych konferencji ks. Czesława Miętka i chętnie z nim rozmawiałem. Mimo to odczuwałem, iż model kapłaństwa, jaki się

nam podaje, jest dość urzędowy albo silnie zinstytucjonalizowany. Nie przejmowałem się jednak takimi myślami, bo byłem na nie uodporniony. Przez kilka miesięcy w Łękach otrzymałem zastrzyk „przygotowania do życia w kapłaństwie”. Wyczuwałem, że z dużej części tego wszystkiego, co jest proponowane w seminarium, mogę spokojnie korzystać, natomiast pewne rzeczy mogę sobie równie spokojnie darować. Nikt mnie nie musiał namawiać do modlitwy, ćwiczeń duchowych, czytania czy rozważań, bo ich potrzebę rozumiałem bardzo dobrze. Brakowało mi boleśnie kontaktu z wiernymi, takich chwil, gdy mogę się włączyć z nimi w liturgię, przeżywać ślub czy pogrzeb, brakowało mi rozradowanych dzieci i brakowało mi psa...

Bardzo wiele czytałem, między innymi książki K. Rahnera, F. Schoonenberga, H. von Batlthasara, R. Guardiniego, Y. Congara. Całą energię skupiłem na nauce. Na trzecim roku rozpocząłem na dobre studia biblijne. Podjąłem je pod kierunkiem dwóch księży profesorów: rektora Kazimierza Romaniuka i Czesława Jakubca. Trzeba nadmienić, że w grudniu 1970r. rektor Zbigniew Kraszewski przyjął sakrę biskupią, a funkcję rektora warszawskiego seminarium duchownego objął ks. doc. Kazimierz Romaniuk, który zdobywał uznanie jako biblista zajmujący się Nowym Testamentem.

Jak dalej przebiegały studia seminaryjne?

Trzeci i czwarty rok przebiegały bez zakłóceń, ale nie były monotonne. Przebieg wydarzeń mogę precyzyjnie odtworzyć na podstawie codziennych notatek w kolejnych kalendarzach. Powstałoby wierne i ciekawe studium ówczesnego życia seminaryjnego, z jego radościami i kłopotami, lecz zdecydowanie przeważały

radości. Przykładałem wielką wagę do modlitwy i życia duchowego, co zresztą nie nastroczało mi trudności, przeciwnie – dawało wytchnienie i dystans wobec wielu drobiazgów. Wielkim przeżyciem były tzw. świecenia mniejsze, które stanowiły swoisty wstęp do kapłaństwa sakramentalnego. Rytm dnia wyznaczały regulaminowe zajęcia wspólne, wykłady, czytanie Pisma Świętego i bardzo wielu książek, dwa seminaria naukowe – ze Starego i Nowego Testamentu – nauka języków obcych, przepisywanie skryptów. Mając doświadczenie katechetyczne, zostałem skierowany do nauczania raz w tygodniu nieuleczalnie chorej dziewczynki i dojeżdżałem do niej na warszawskie Okęcie. Bardzo przeżywałem jej cierpienia, zawsze wydawały mi się wielką niesprawiedliwością.

W wakacje włączyłem się w organizowanie tzw. oaz dla dzieci i młodzieży, organizowanych wedle zasad ustalonych przez ks. Franciszka Blachnickiego, które odbywały się w Krościenku i okolicach. Moim zadaniem nie były jakieś wzniosłe sprawy, lecz zakwaterowanie i aprowizacja całej grupy. Tak poznawałem aktualne ceny różnych produktów i nauczyłem się targować. Podczas jednych z wakacji w swojej rodzinnej parafii, Troszynie, zorganizowałem grupę starszych dzieci. Nauczyły się kilkunastu piosenek i wierszy, w kolejne niedziele objechaliśmy trzy sąsiednie parafie, a za zebrane pieniądze urządziłem tygodniową wycieczkę do Warszawy, Częstochowy i Krakowa. Bardzo przyjacielski był dla mnie ks. Zdzisław Miłkołajczyk, który w Troszynie kontynuował budowę wspaniałego, wznoszonego z kamienia polnego, kościoła.

Wracając z ferii wielkanocnych 1974 r. złamałem na kręwniku ulicznym w Ostrołęce nogę w stopie. Dopiero półtora tygodnia później została włożona w gips i w takim sta-

nie 5 maja, w dzień swoich imienin, w kościele seminaryjnym przyjąłem święcenia diakonatu. Była to dla mnie ogromna radość. Uczestniczyli w niej rodzice, ks. Zdzisław Mikołajczyk, najbliższa rodzina oraz przyjaciele z Kobylki i Łęk. Kilka miesięcy później, na przełomie lata i jesieni odbyłem przewidzianą w programie praktykę duszpasterską. Zostałem skierowany do parafii Św. Trójcy w podwarszawskich Ząbkach, gdzie jedną z nowości była dla mnie katechizacja młodzieży licealnej. Jako diakon pracowałem tam między innymi z ks. Jerzym Popiełuszką. Bardzo życzliwy i dobry był proboszcz, ks. Tadeusz Karolak, od kilku lat pracujący bardzo owocnie na Białorusi. Wiele się od niego nauczyłem i bardzo wiele mu zawdzięczam.

W październiku wróciłem do seminarium, do budynku na Bielanach i kontynuowałem ostatni, szósty rok. Wykładów było mało. Rychło pojawiła się nowa potrzeba, a mianowicie katechizacja dzieci w Załubicach niedaleko Zalewu Zegrzyńskiego. Tamtejszy proboszcz był zajęty budową plebanii. Zlecono mi nauczanie dzieci, dodając wkrótce kazania i niedzielne posługi liturgiczne. Znowu rzuciłem się w wir katechizacji. Z dziećmi ze starszych klas w dwóch grupach obejrzelśmy w Warszawie film *Potop*. Z proboszczem praktycznie nie miałem kontaktów. Przygotowywałem się do święceń kapłańskich, które miały nastąpić za kilka miesięcy. W piątek, 6 grudnia, przeczytałem ostatni rozdział Apokalipsy św. Jana i ukończyłem rozpoczętą jeszcze w Łękach lekturę całego Pisma Świętego. Sześć dni później, w czwartek 12 grudnia 1974 r. wieczorem – dobrze zapamiętałem tę datę – wezwał mnie ks. rektor Romaniuk. Oznajmił, że mogę sobie szukać czegoś innego, bo do święceń nie dojdzie. Na dramatyczne pytania, odpowiedział krótko: „Dobrze wiesz!”

I to wszystko?

Wszystko! Rozmowa skończyła się równie szybko jak się zaczęła. Udałem się najpierw do kaplicy, a stamtąd do swojego pokoju obok ciemni fotograficznej na poddaszu. Czułem się jakby mi odebrano światło, pozbawiono wzroku. Przez całą noc nie zmrużyłem oka. Była to najciemniejsza, najbardziej mroczna noc, jaką można sobie wyobrazić. Czułem, że ktoś chce budować za mnie moje życie. Gdyby tym kimś był Bóg, to bym z Nim się spierał czy kłócił. Ale wszystko spowiła jakaś przerażająca pustka. Warszawa tętniła życiem, a ja leżałem sam w ciemnościach, zapomniany i pozostawiony sobie, bez nadziei i perspektyw na przyszłość. Nie było we mnie buntu, gniewu, ani sprzeciwu, tylko poczucie całkowitego bezsensu, absolutnie gorsze niż wszystkie inne odczucia razem wzięte. W porównaniu z nim nawet piekło wydaje się wyzwoleniem, chyba że właśnie na tym ono polega. Nie może być w ludzkim życiu nic gorszego niż poczucie całkowitego odrzucenia, beznadziejności, pozbawionej wszelkiego sensu pustki. A najgorsza w tym wszystkim była świadomość, że to, co się stało, ma być nieodwracalne, czyli, że mój dramat nigdy się nie skończy...

*A może jednak ta noc miała też pewien pozytywny wymiar,
bo często w duchowości chrześcijańskiej przejście przez noc,
przez ciemność, w jakimś sensie umacnia, oczyszcza
i zbliża nas do Boga...*

Z dzisiejszej perspektywy mogę próbować tę noc upiększać, widzieć w niej doświadczenie podobne do przeżyć mistyków czy coś podobnego, ale wtedy wcale tego tak nie przeżywałem.

Słyszałem pogląd, że cierpienie oczyszcza, ale ja wtedy tego nie doświadczyłem. Odczuwałem straszliwe, bolesne, bezsensowne nieszczęście, a przede wszystkim bezsilność i bezradność... Nad ranem miałem gorączkę, jakieś urojenia, zwiidy i majaki, Ile razy czytam w Księdze Hioba o nocnych cierpieniach człowieka dotkniętego nieszczęściem, wiem, jaką są one udręką i zawsze kojarzą mi się z tamtą nocą. Przywodzi mi ona też na myśl noc Abrahama po tym, gdy usłyszał polecenie ofiarowania własnego syna, a wraz z nim całej swojej przyszłości... W majaczeniach jakąś ulgą stawały się wspomnienia o poczywym Reksiu. Wydawało mi się, że leży obok... Gdy rano spojrziałem w lustro, zauważyłem wiele siwych włosów. Tego dnia urwały się wszystkie moje notatki i przestałem prowadzić kalendarz. Dlatego zupełnie nie potrafię odtworzyć tego, co się zaraz potem wydarzyło. Nie wiem, po prostu nie wiem. To jest pustka w mojej pamięci i w życiorysie.

Rektor powiedział: „Dobrze wiesz”, czyli spodziewał się, że jego rozmówca doskonale zdaje sobie sprawę z przyczyn takiego nagłego obrotu spraw.

Tak powiedział... Przeprowadziłem rachunek sumienia ze wszystkiego, co popełniłem, co mógłbym popełnić i czego nie popełniłem. Ale mówię najszczerzej, jak potrafię: wtedy nie wiedziałem i nadal nie wiem. W moim przekonaniu nie było powodów do podjęcia tak drastycznej decyzji. Zaciążyła ona bardzo na moim życiu i mogła je zupełnie wywrócić. Uznaję jednak, że rektor inaczej widział i oceniał moje zachowanie i postępowanie. Ale skoro tak, miał obowiązek mi otwarcie powiedzieć, o co konkretnie chodzi i dać jakkolwiek szansę

wytłumaczenia czy obrony. Tak się nie stało. Najbardziej doskwierała myśl, że to, co się dzieje, dokonuje się dla mojego dobra. Dramat polegał na tym, że podczas tej długiej grudniowej nocy byłem kompletnie sam.

A może miało miejsce jakieś pomówienie czy jakiś donos?

Nie wiem! Gdyby tak, nigdy to do mnie nie dotarło. Być może z większą determinacją szukałbym powodów i zgłębiał to wszystko, gdyby nie fakt, że bardzo szybko sprawy się nieco wyprostowały. Na szczęście dla mnie inicjatywę przejął kard. Stefan Wyszyński.

SPIS TREŚCI

Rozdział I – Biblia czytana po kryjomu	7
Rozdział II – W seminarium duchownym i poza nim	36
Rozdział III – Opatrzność i kardynał Stefan Wyszyński	65
Rozdział IV – Biblicum i jego profesorowie	93
Rozdział V – Ziemia Święta, Jerozolima i Uniwersytet Hebrajski	118
Rozdział VI – Na katedrę profesorską	143
Rozdział VII – Czytanie i studiowanie Biblii	173
Rozdział VIII – Na wschód od Edenu	202
Rozdział IX – W poszukiwaniu zaginionych plemion Izraela	231
Rozdział X – Ku starożytnej żydowskiej egzegezie biblijnej	260
Rozdział XI – Zjawisko targumizmu	289
Rozdział XII – Biblia Grecka: od entuzjazmu do klątwy	318
Rozdział XIII – Rozejście się Kościoła i Synagogi	347
Rozdział XIV – Kanon Pisma Świętego i Talmud	377
Rozdział XV – Romana Brandstaettera słuchanie Biblii	407
Rozdział XVI – Stary Testament, Żydzi i Mesjasz	434
Rozdział XVII – Publikacje, wykłady, konferencje	463
Rozdział XVIII – Biblia objaśniana, ilustrowana i filmowana	493

